GAZETA
LEŚNA i MYŚLIWSKA
DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
DLA WŁAŚCICIELI LASÓW, LEŚNICZYCH, MYŚLIWYCH i MIŁOŚNIKÓW PRZYRODY

Redakcja i Administracja: Nowy Zjazd 7. Telefon 248-82. — Wydawca i kierownik literacki Gustaw Buseck-Busecki.

№ 13. WARSZAWA, 1 Lipca 1913 r. Rok II.

Jutrzenka.

Gdym ujrzał wczora świtania rozkwity,
Które po nocy nadleciały wreszcie,
Gdy niebo całe w swój pas złotolity
Objęło światy w pieszczotliwe pieśnie:
Stanąłem zcicha pod prastarą sosną,
Patrząc nieśmiało — jak skromne mchy [rosną...
Swawolny zefir—lekko i wesoło
Musnął mi skrzydłem zadumane czoło
I szepnął cicho: „Powiedz braciom swoim,
Że noc przemija, a po każdej nocy,
(Za tym porządkiem niewzruszenie stoim)
Dajemy jasność dzienną... wielkiej mocy" ..
. . . .
Sosna olbrzymia, z jednej strony jeszcze,
Objęta cała przez ciemności kleszcze,
W ponurym mroku poranne opary
Rozdziera z siłą dumnemi konary.
A z drugiej strony, ostrożnie, nieśmiało,
Jutrzenka barwi jaśniej igieł ciało:
Z początku ciemnym fjoletem oblewa
Wierzchołek sosny, z zielenią się zlewa
I gra kolorem takim tajemniczym,
Że wieczność cała—zdaje się być niczem.
Lecz chwila jeszcze—a różowe zorze
Zalały nieba ponurego morze
I krople rosy zawisłe się mienią
To róż purpurą, to igieł zielenią.
Aż wreszcie słońce przejasnem swem czołem
Promienie światła rozesłało kołem.
Świergoty ptasząt, dotychczas niepewne,
Rozbrzmiały pieśnią; jakieś dziwne, rzewne,
Pełne nadziei, wesołości, gwary:
Podzięki Stwórcy za życiowe dary.

Mścisław Godlewski.

JUSTYN A. MAN.

W dziewiczych lasach „Siera".

Artykuł ten, nadesłany nam łaskawie w języku czeskim, autor bowiem, pomimo spędzenia większej części życia w Ameryce, nie przestał się zaliczać do narodowości czeskiej, wyszedł z pod pióra człowieka, który w Stanach Zjednoczonych uchodzi za pierwszorzędną i ogólnie uznaną powagę w sprawach, dotyczących leśnictwa i łowiectwa. Życie redaktora Mana obfitowało w mnóstwo nadzwyczajnych przygód, żadne jednak przeciwności nie były zdolne odstraszyć dzielnego pioniera cywilizacji, który słynie z tego, że jako wysłannik austrjackiego ministerjum spraw wewnętrznych najgruntowniej zbadał cały teren Stanów na zachód od rzeki Missisipi. Ze względu na osobę i powagę autora sądzimy, że artykuł ten zainteresuje żywiej czytelników naszej „Gazety", jakkolwiek nie jest związany ściśle ze sprawami dotyczącemi leśnictwa.

REDAKCJA.

Lubuję się w samotności i jestem do przebywania sam z sobą przyzwyczajony. Często pożądam nawet samotności, tęsknię za nią i szukam jej, ale tylko niechaj mam możność wtedy obcować z naturą. W takim samym wysokim stopniu, w jakim namiętnie lgnę do samotności, byle dane mi było tylko mieć w około siebie Boską naturę, w takim samym wysokim stopniu nienawidzę towarzystwa ludzkiego, które w obrębie czterech ścian wykrzywia tylko ducha i obraża boskość, mieszkającą w duszy każdej istoty człowieczej. Były chwile w młodości mojej, gdy na całe pół dnia wybierałem się do lasów położonych na Uhlawą i jako chłopiec godzinami wysiadywałem sam jeden. To umiłowanie samotności nie opuściło mnie również tutaj po drugiej stronie Oceanu i bywało nieraz, że potrafiłem godziny spędzać, siedząc na zwale kamiennym w górach, to podziwiając wspaniałe kaskady wód, to pochłaniając wzrokiem Coast Mountains, lub wreszcie wsłuchując się w oddalony szmer bałwanów morskich, który to szum przedzierał się nawet przez gąszcze leśne.

Po takich godzinach, dniach, miesiącach, spędzonych samotnie, zawsze odświeżony wracałem pomiędzy ludzi i do obowiązków, związanych z tak zwaną „cywilizacją".

Zdarzyło się jednak, że pewien okres czasu w mojem życiu, choć trwał bardzo krótko, gdyż tylko dwa dni, jak kamień olbrzymi przytłoczył moje piersi. Byłem w samem środowisku przewspaniałej natury, a przecież zdawało mi się, że się tutaj uduszę, i wówczas zacząłem gwałtownie tęsknić do towarzystwa ludzi.

Koń mój zaniósł mnie wówczas w okolice górskie Buena Vista, które to góry stanowią część łańcucha, noszącego nazwę „Wielka Plesata", a położonego pomiędzy parkiem narodowym jenerała Granta, a parkiem narodowym Šequojen w Kalifornji na wschód od wiecznie pokrytych śniegiem szczytów Siera Newada. W pierwszym dniu szło wszystko jeszcze względnie znośnie. Po lewej stronie rozciągały się szerokie płaszczyzny t. zw. *meadows* (łąki) poprzecinane wprost niezliczoną ilością małych strumyków, które je użyźniają. Niemal co kilka kroków napotykałem w skałach źródełka, z których woda staczała się na dół i rozlewała się w wyżłobienia po łąkach. Czasami znów takie źródło wytryskiwało z pod korzenia ogromnego drzewa.

Dopiero kiedy zbliżyłem się do olbrzyma górskiego Big-Baldy, zwanego także „Starym Niedźwiedziem" (2,700 m.) i znalazłem się w pobliżu słynnego gaju „Muirov", miały się rozpocząć dla mnie chwile wielkich utrapień i pokonywania niezwykłych przeciwieństw.

Jakiś niewypowiedziany objął mnie smutek i zawładnęła mną tęsknota, więc myślami pobiegłem ku dawnej przeszłości i przypominałem sobie najdrobniejsze nawet szczegóły z życia, spędzonego wśród murów mojej Macierzy—Złotej Pragi. Potem zatrzymałem się myślą w Michigan Avenue w Chicago i tak pogrążony w myślach, posuwałem się coraz dalej.

Miałem teraz wszystko, czego właśnie pragnąłem gorąco, miałem zupełną samotność. Już od dwóch dni nie dostrzegłem nigdzie żadnej ludzkiej istoty, a noc, którą spędziłem w t. zw. „Beartrap Meadow", miała dostateczne cechy romantyczności. Przyzwyczaiłem się już do otoczenia nocnego, do wycia szakali i do syku niektórych bestji, oraz upierzonych stworzeń, wysiadujących nocną porą na koronach drzew tutejszych. Stanowczo twierdzę, że ani przez chwilę nie uczuwałem żadnego lęku, a przecież czułem, że opadła mnie i krępuje moje ruchy jakaś wprost niewypowiedziana tęsknota.

Zacząłem przeto zastanawiać się nad tem, jaka tego dziwnego uczucia może być przyczyna...

Zadumany nad tem prawie nie spostrzegłem, że na ścieżkę, którą się posuwałem naprzód, padł przed mojemi oczyma cień duży. Spojrzałem w górę i ponad głową swoją ujrzałem olbrzymiego orła skalnego. Był to pierwszy ptak, pierwsze żywe stworzenie, które w tych dwóch dniach ostatnich ujrzałem. Wycia, syki i trzepotania skrzydeł słyszałem nieraz, ale nic nigdy nie mogłem dostrzedz, kiedy więc teraz ukazał mi się ten orzeł, odrazu wyjaśniło się wszystko. Wspaniały jest ten las dziewiczy, ten olbrzym, w którym od

dwóch dni się znajduję, wspaniałą i niezmierzoną jest jego piękność, wspaniałe są te dzikie drzewa i białe szczyty Siery; ale ta cisza wokół panująca zanadto przypomina ciszę grobu i ona to właśnie, jak płyta kamienna wali się ciężarem na nasze piersi, grozi uduszeniem, zmieleniem w proch słabej ludzkiej istoty.

Gdzież wy, nasi piewcy narodowi, opisujący przepych lasów czeskich, lub polskich? Łatwe macie zadanie. Las na ziemi słowiańskiej pobudza do poetycznych marzeń, tam panuje życie! A tutaj? Cisza naokół--grób...

Raz, czy też dwa razy w gąszczach posłyszałem trzepotanie skrzydeł przestraszonego głuszca, ale go nie mogłem dojrzeć, raz dopiero gdzieś, na samej górze wyrastają nieliczne gałązki, które niezawodnie szumią również przy podmuchu wiatru, ale człowiek, znajdujący się na dole, tego szumu wcale nie może wyczuć uchem. Wydaje się, jak gdyby te drzewa były skamieniałe, nic się bowiem nie porusza, nic nie objawia jakiegoś życia, a naokół panuje cisza, przerażający spokój — grób...

Skręciłem w bok na małą łączkę i wyciągnąłem torbę, ażeby z zapasów, jakie z sobą wiozłem, pożywić się nieco; koniowi zdjąłem uzdę i puściłem go na trawę.

Nic dziwnego, że zmysł słuchu był u mnie przeczulony, temu też przeczuleniu przypisywałem to, że zdawało mi się, iż w tej



Sequoja tak zwana „Rob Roy“ w okolicy Kinges River, odkryta przed 9-ciu laty w prawie niedostępnych lasach gór Siera. Wysokość 91 metrów na dole 30 metry.

znów na Rabbit Meadow (łąka zajęcza) zerwał się w odległości około 100 kroków maleńki szaraczek. Śliczne to było stworzonko, niepodobne do naszych, gdyż całe centkowane; nie przeląkł on się wcale narazie i tylko zdziwionemi oczyma patrzał na śmiałka, który się zapuścił w głąb dziewiczego lasu. Dopiero gdy się jeszcze zbliżyłem, zajączek bardzo niezgrabnie podskoczył i zniknął w gąszczach. A potem znów otoczyła mnie cisza grobu.

W naszych lasach słowiańskich słyszy się przynajmniej jakiś szum, nasze lasy gadają, a język ich jest zrozumiały dla każdego leśnika i myśliwego. Nic podobnego nie ma w lasach dziewiczych. Cechą tutejszych olbrzymów drzewnych jest to właśnie, że po bokach nie mają one prawie wcale gałęzi i chwili wśród tej ciszy grobowej wpadł do ucha mojego jakiś dźwięk. Co to być może? Czyżbym się mylił? Ależ nie! Słyszę najwyraźniej dźwięk dzwonów. Zrazu padały te odgłosy bardzo cicho, bardzo delikatnie i z bardzo wielkiego oddalenia, ale po chwili stawały się coraz głośniejsze, coraz wyraźniejsze i coraz bliższe.

Rzecz naturalna, że nietylko słuch, ale i wzrok wytężyłem w stronę ściany skalnej, po za którą ginie ślad ścieżyny górskiej. Nie czekałem zbyt długo, gdy na tej ścieżce ukazał się jeździec, siedzący na małym kucu, jakich w Ameryce używają pastuchowie. Przed sobą na siodle trzymał strzelbę, w drugiem zaś ręku miał bardzo długi bat, zwany „black snake“. W ślad za kucykiem szedł drugi koń

objuczony, a na szyji miał przywiązany dzwoneczek. Domyśliłem się, że to jest przewodnik karawany i nie omyliłem się, gdyż później ukazał się jeden, drugi, trzeci i t. d.

Mój koń, ujrzawszy „kolegów“, zaczął rżeć z ogromnej radości. Nie brałem mu tego za złe, sam bowiem uczułem wielką ulgę, a nawet radość na widok istoty ludzkiej i budzącego się w około mnie życia.

Jeździec zjechał na bok, zeskoczył z konia i zaczął batem operować, ażeby powstrzymać swoje rumaki od odwiedzenia mojego rosynanta i zawarcia z nim bliższej przyjaźni. Natychmiast nałożyłem mojemu koniowi uzdę i przywiązałem go do drzewa, on zaś rozpaczliwe czynił wysiłki, ażeby porwać paski. Już chciałem się udać w stronę tego jeźdzca, ażeby bodaj na chwilę znaleźć się w towarzystwie ludzkiem, ale ten człowiek, wciąż poganiając swoje zwierzęta, skręcił w bok, zniknął mi za skałą, i pozostałem sam, smutnie się wsłuchując w dźwięki oddalającego się i coraz więcej cichnącego dzwonka.

Dziwny człowiek! Sam przepadam za samotnością, ale takim odludkiem, jak on, jednak być nie umiem.

I znów zapanowała wokoł cisza grobowa.

Zacząłem krzyczeć, zrazu cicho, potem głośniej, coraz głośniej, bo myślałem, że bodaj echo mi odpowie.

Napróżno.

Na wschodniej stronie owej halizny, na której rozłożyłem się obozem, wznosiła się mała skała. Wspiąłem się na nią, a znalazłszy się na górze, zacząłem śpiewać. Nagle urwałem i wstrzymałem oddech.—„God bless you“!

O jakie 200 stóp odemnie z nizkich krzewów wyłaniał się zwał kamienny, a na tym zwale ujrzałem latający, wspaniały okaz przepiórki kalifornijskiej.

Nie bój się, nie bój się ptaszyno! błagam cię, nie odlatuj odemnie. Nie zrobię ci krzywdy! Prędzej rozbiłbym tę fuzję o skałę, aniżeli miałbym ją na ciebie skierować.



Sequoja „Grizzli. Giant“ Obwód na dole 27 metrów.

Przepióreczka, jak gdyby zrozumiała moją prośbę, nastroszyła się, podniosła gardziołek w górę i mocnym głosem zawołała: „bab havajt“!

I pofrunęła. Znów cisza wokoło. Zdążyłem jednak przypatrzyć się dobrze ptaszkowi, który miał trzy piórka na głowie okolone szerokim, żółtym brzegiem. Ładniejszego ptaka nie widziałem nigdzie, nawet w północno-zachodnim Oregonie, który słynie ze złocistych bażantów, najpiękniejszych na świecie, a przewiezionych tutaj z Chin.

Jeszcze z oddali zabrzmiało kilkakrotnie „bab havajt“, na co z krzewów odpowiedziano „tuj-tu-tuj“. Łatwo wywnioskować, że było to nawoływanie samca i samiczki.

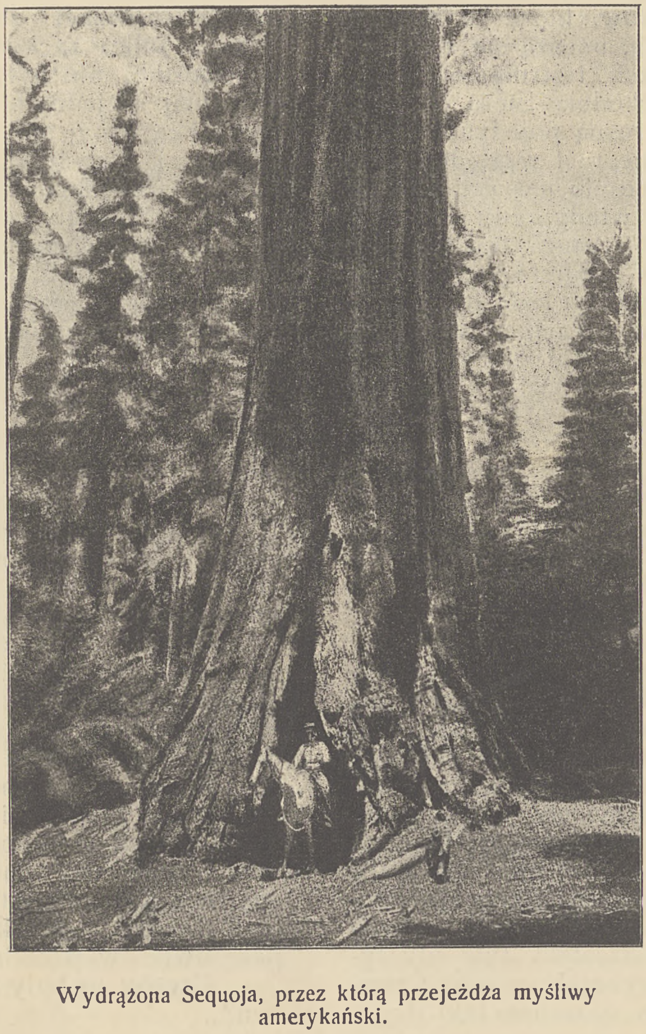
* * *

Podążywszy jeszcze trzy mile od góry Big Baldy, dojechałem do takiego punktu, gdzie ścieżka dzieli się na dwie części: jedna dąży prosto ku południowi, druga w stronę północo-wschodu, poczem zakręca w ostrym kącie i prowadzi tuż nad strumieniem.

Zanotowałem to sobie w mojej książeczce i skręciłem na lewo, dążąc po stromej drodze ku lasowi na górze. Wszelkie mapy, jakie dotąd zostały dokonane, mogą człowieka doprowadzić do najwyższej pasji, a szczególniej oznaczenie odległości bywa bardzo iluzoryczne. To, co na mapie figuruje jako jedna mila, w rzeczywistości ma zwykle trzy, albo i cztery mile, zanim zaś objedzie się skały, zanim okrąży olbrzymie drzewa, leżące na ziemi, to czasem pół dnia trzeba strawić i zaledwie ujedzie się milę. Podług mapy, jaką miałem z sobą, od słynnego lasku „Sequoj“, zwanego także „Cabin—Meadow“, byłem oddalony o trzy mile, jechałem jednak kilka ładnych godzin, zanim znalazłem się w tej znanej na cały świat grupie olbrzymów leśnych. Po drodze napotkałem wbity w ziemię pal żelazny, a właściwie rurę, na której wieku wyryte były litery U. S.—G. S.—7701. Był to pomiar geolo-

giczny, świadczący, że miejsce to leży 7701 stóp, czyli 2,600 metrów nad poziomem poziomem morza. Szkoda tej pracy geologów, wystarczy bowiem mieć dobry słuch, ażeby się przekonać, że ztąd jest bardzo blizko do nieba, a w tem niebie wszyscy aniołkowie wygrywają na fujarkach.

Było około gydziny 4-ej, gdy w coraz więcej prześwietlonym lesie natrafiłem na pierwszego olbrzyma, na drzewo, zwane Sequoja gigantea, a nazywane również „Wellingtonja", albo „drzewem mamutowym". W lasach dziewiczych Ameryki drzewa olbrzymie dopiero wtedy zasługują na tę nazwę, gdy 6—10 ludzi nie może ich objąć rękami. Tutaj takie drzewa nie wydały mi się wcale olbrzymiemi, raczej wziąćby je można za podszycie, za karły wobec innych, prawdziwych gigantów. Na ziemi amerykańskiej człowiek przyzwyczaja się do rozmaitych ogromów, dlatego też na takie drzewa nie zwracałem już uwagi. A jednak, kiedym się znalazł przy prawdziwem drzewie mamutowem, musiałem sobie powiedzieć, że błądzą ci, którzy na wszystko patrzą sceptycznie i głoszą po barbarzyńsku: *Nil admirari!* Naprózno siliłbym się określić wrażenie, jakie mnie wtedy ogarniało, krótko więc powiem, że sam sobie wydałem się bajecznie małem stworzonkiem, nic nie znaczącem, jakimś atomem, prochem...



Wydrążona Sequoja, przez którą przejeżdża myśliwy amerykański.

Najmniejsza z „gałązek" tego drzewa była większa, aniżeli największe drzewo w naszych czeskich lasach. Pod tą gałązką znaleźliśmy z koniem cień pożądany, więc znów przywiązałem wierne zwierzę do drzewa, a sam siedząc na korzeniu, sterczącym z boku, rozmyślałem nad tem: ile też tysięcy lat stoi to drzewo niewzruszenie? I rok po roku wypuszcza ten olbrzym świeże pędy, a rzecz dziwna, że te pędy nic a nic nie są większe od pędów naszej sosny. Jakaż to siła żywotna spoczywa w tem drzewie!

Puściłem wodze fantazji i cofnąłem się wstecz do owych czasów, gdy Cheops w swojej jaskini marzył i tworzył plan pierwszej piramidy. W owym to czasie być musiało, że na grunt podatny padło tutaj maleńkie nasionko i ono zaczęło kiełkować. Z tego nasionka wyrosło potężne drzewo i trwa, jak trwają piramidy Cheopsa. Tylko, że piramidy są martwe, a tutaj corocznie przez lat 4,000 drzewo kwitnie i rozsypuje swój żółty proszek, ten tajemniczy cud przyrody, ażeby ciągle nowe budzić życie.

I marzyłem dalej. Kto wie, czy przedhistoryczni ludzie nie zbierali się kiedyś na tych skałach i czy nie gromadzili się około tego drzewa, ażeby na swój sposób chwalić Pana nad Pany. A może później, po narodzeniu Chrystusa, służyło to drzewko jako choinka? A może tutaj asceci uciekali od gwaru ludzkiego i gromadzili się na nieznanych nikomu wzgórzach i odprawiali tutaj swoje modlitwy?

Jakże często słyszy się zdanie, że gdyby ojcowie nasi wstali z grobu, to nie poznaliby tego świata, który ich otacza. A przecież nie upłynęło jeszcze nawet stu lat od tego czasu, gdy np. mój dziadek jako niemowlę brał pokarm z piersi matczynej. I on nie poznałby już dzisiaj tego świata. Cóż dopiero mówić o tych olbrzymach, które tutaj stoją nie 100, ani nie 200, ale 4,000 lat! Ileż to przeobrażeń dokonało się przez ten czas na świecie? W owym czasie, gdy na zachodzie Ameryki pojawił się Kolumb, ten olbrzym, pod którym siedzę, z pewnością mało był mniejszy, aniżeli dzisiaj, a tak samo kwitł, jak kwitnie teraz. Jakiż olbrzymi materjał miałyby te drzewa do opowiadania, gdyby im dane było przemówić!

I olbrzymy lasów dziewiczych nie milczą bynajmniej, one mówią, one bardzo dużo opowiadają, trzeba tylko umieć się w ich głos wsłuchiwać. Oto spojrzyjcie na tego olbrzyma, który padł już zmęczony zbyt długiem życiem! Objętość jego jest tak wielka, że moja osoba nie sięga nawet do połowy. Jak długo już on tu leży? — nie wiadomo, to tylko pewna, że naokoło niego utworzyło się już 6

stóp nowej próchnicy. Drewno jego ma kolor różowy i jest proste oraz zupełnie zdrowe. Najprawdopodobniej przejść musiał tędy straszliwy orkan, który wykarczował jego kilkotysiącznoletnie korzenie.

A jakież oryginalne co do swojej budowy są te korzenie! Prawie każde z gigantycznych drzew tutejszych, co jest rzeczą ogromnie niezrozumiałą, nader płytko zapuszcza korzenie w ziemię, trudno zatem zrozumieć, zkąd te olbrzymie cielska biorą soki odżywcze? Najwięksi uczeni napróżno nad rozwiązaniem tej zagadki łamią sobie głowy, a nie mogąc znaleźć trafnej odpowiedzi, orzekli, iż giganty leśne czerpią swoje siły z powietrza, albo raczej z oparów, które tu zwykle, gdy noc jest pochmurna, unoszą się z doliny San Jaquino, oraz z rzek i strumieni, przerzynających stronę wschodnią Siera Nevada.

Sequoje nigdy nie rosną pojedynczo, lecz są to drzewa towarzyskie, pod względem charakteru swojego podobne do naszych olch, a więc udające się tylko wtedy, gdy znajdują się w całej grupie. Może natura zrządziła tak dlatego, ażeby drzewom nie było smutno, gdy skazane zostały na długie, bardzo długie czuwanie jako straż poboczna Pacificu.

Do mniejszego gatunku olbrzymów należą te, które osiągnęły wysokość 90 metrów, a których objętość wynosi od 20—30 metrów. Takie drzewa zwykle mają już po kilka tysięcy lat, a ich gałęzie, wyrastające u samej góry w pobliżu korony, corocznie na wiosnę okrywają się nowem kwieciem. Żółte pyłki krążą około tych koron, a przypatrzywszy się dobrze, można dostrzedz, zwłaszcza gdy jest lekki powiew wiatru, jak gdyby złoty obłok, unoszący się nad drzewami.

Olbrzymy w lasach dziewiczych mają korę ciemno-czerwonego koloru, a ta kora jest włóknista i dochodzi do 30 cm. grubości. Pod tym względem nie różni się wiele od kory cedrów, które tutaj rosną wszędzie, ale w odosobnieniu. Wobec olbrzymów nawet stuletnie cedry wyglądają jak trzcinki giętkie.

Kiedyś rozpasać się tutaj musiał straszliwy ogień, który niejednego olbrzyma strawił, okazało się jednak, że jeszcze w tych spalonych szczątkach pozostało tyle siły żywotnej, iż nowe pędy wybujały w górę i zwyciężyły. Potworzone tym sposobem luki dopomogły tylko korzeniom do lepszego rozrostu i uszkodzone drzewa odzyskały znów dawny wygląd.

Oto naprzykład widzimy olbrzyma w środku wydrążonego. Przed wielu laty jakiś badacz amerykański urządził sobie w jego wnętrzu wygodne mieszkanie. Izba jego miała 5 metrów szerokości i 7 metrów długości, a wystarczyło mu to nawet do pomieszczenia konia.

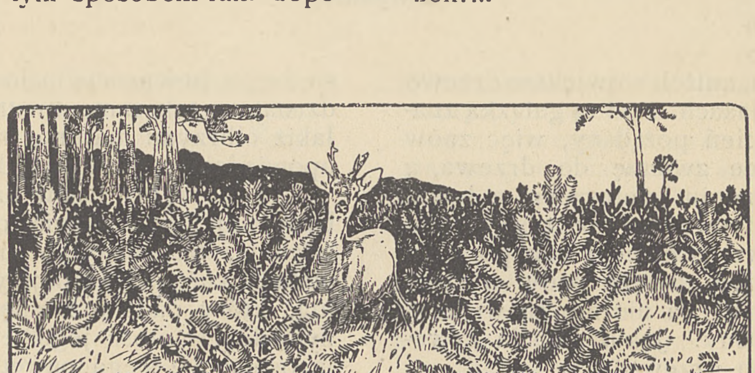
Rząd Stanów Zjednoczonych w imieniu ludności tej Rzeczypospolitej ogłosił, że prastare drzewa tworzą świętość narodową, niszczyć ich przeto pod karą niewolno. Takie rozporządzenie przypomina wyraźnie nasze przedhistoryczne, słowiańskie gaje święte. Różnica tylko zachodzi ta, że gaje na ziemi słowiańskiej nie były zbyt wielkie, podczas gdy tutaj w jednym tylko gaju, położonym nad rzeką King, stoi takich olbrzymów wedle dokładnej statystyki przeszło 20,000, każdy zaś z nich z pewnością pamięta te czasy, gdy Romulus i Remus tworzyli Rzym starożytny.

Zadumany siedziałem na korzeniu jednego z tych starców i straciłem zupełnie rachubę czasu, nie spostrzegłem też, że zmrok nadchodzi, i że ostatnie promienie słońca zniknęły poza koronami drzew. Myśli moje pobiegły gdzieś, hen, daleko, sam nie wiem dokąd.

Zadumę moją przerwał hałas i po chwili ujrzałem trzech strażników wojskowych, przeznaczonych do pilnowania porządku. Strażnicy jechali na pięknych koniach i skierowali się do szałasu, zbudowanego z wielkich kloców i ustawionego na wolnej polance, w dość znacznej odległości od olbrzymów. Szałas ten jest dużych rozmiarów i gdzieindziej mógłby nawet imponować. Sama sala jadalna pomieścić może 75 osób, sypialnia zaś nie jest mniejsza, a stajnia stanowczo większa. Jakież to jednak wszystko wydaje się małe w otoczeniu tych drzew!...

Strażnicy przenocowali mnie gościnnie, spałem też znakomicie na miękkiej pościeli po dwudniowem nieschodzeniu z siodła, przedziwne jednak sny miałem tej nocy. Śniło mi się, że z Kainem jestem na polowaniu w okolicy piramidy egipskiej, i że z Abrahamem pasę owce w wielkim, bardzo wielkim lesie.

Czyżby to były refleksje przeżytych wrażeń?...



Z wyprawy na niedźwiedzie nad jezioro Onega.

Dzięki inicjatywie i zachęcie kn. T. P., towarzysza nie jednej przyjemnie na łowach spędzonej chwili, znalazłem się 13. lutego 1913. na małej stacyjce kolei sybiryjskiej, paręset wiorst na wschód od Petersburga. Prócz wymienionego aranżera wyprawy i mnie brał także w niej udział br. S. z Wiednia, a towarzyszył nam jako przewodnik stary, wytrawny myśliwy, niejaki M., który w Petersburgu już na nas czekał. Za młodu był on leibjegrem jednego z Wielkich Książąt, na starsze zaś lata osiadł na własnem gospodarstwie w guberni ołonieckiej. Pod jego przewodnictwem ubito razem 2645 niedzwiedzi, z czego jeden tylko myśliwy, inżynier Winnicki, położył sam z górą 600.



Koni na stacji dla nas jeszcze nie było. Przyjechało jednak właśnie dwóch myśliwych, wracających z podobnej wyprawy (ubili niedźwiedzicę, piastuna i 2 małe niedźwiadki) zabraliśmy więc ich podwody i zaraz ruszyliśmy w drogę.

Jazda odbywa się saneczkami, zaprzężonemi w jednego konia, a czasem we dwa, gdy się wjedzie na trakt, i łatwiej o konia. Jeden jest wówczas zaprzęgany przed drugim i biegną środkiem ubitego gościńca, a sanki mkną wtedy z niesłychaną szybkością. Tamtejszy koń chłopski, o grubej kości, dziwnie jest wytrzymały, kłusuje doskonale i przebywa bez wytchnienia i zwolnienia tempa 30—40 wiorst, po których zwykle konie się zmienia. Każdy jechał w oddzielnych saneczkach w pozycji leżącej, na sianie, tak, że znaczne odległości przebywało się bez większego zmęczenia. Mróz dochodził do 22° R., lecz przy wspaniałej pogodzie, bez wiatru, nie był wcale dokuczliwy. Droga prowadziła przez lasy, bagna i zamarznięte jeziora, na których gałęzie, zatknięte jeszcze w jesieni, wskazywały kierunek. Noc była jasna, przed pełnią, a zmieniając konie co 3 — 4 godziny, można było pośpieszać naprzód bez przerwy.

Wspaniale przedstawiał się bór pierwotny w nocy. Takiej okiści i takich jej form fantastycznych nie widzi się gdzieindziej. Gałęzie świerków, poprzyginane do pni, nadają drzewom niezwykłą smukłość, a brzozy — na śnieżnej bieli, iskrzącej się miljonami kryształów — wyglądają jakby tryumfalne łuki.

Szybko mkniemy przez ten bajeczny las, rozglądając się tylko, czy nie wysunie się wilk, którego formalnie brak jest w tym krajobrazie. Do pierwszej kwatery mamy przebyć 150 wiorst, skracamy przeto postoje i ponaglając, stajemy o 3-ciej nad ranem w S. w schludnym domu naszego przewodnika, W mgnieniu oka jest samowar podany, ustawione łóżka polowe i czeka nas krótki wypoczynek.

Przewodnik nasz ma dwóch dorosłych synów, — dzielnych, jak on i zaprawionych w łowy na niedźwiedzia myśliwych. Prócz synów pomaga mu w urządzeniu i prowadzeniu polowania 6-ciu pomocników, bez których się nigdy nie rusza. Porozumienie się i połączenie z tym sztabem było jednym z powodów odbycia bez przerwy 150 wiorst. Do następnej kwatery, w pobliżu której zapowiedziane są pierwsze niedźwiedzie, mamy wiorst kilkadziesiąt. Ruszamy więc nazajutrz, tym razem już w 10 sań i późno w nocy stajemy w miejscowości T. Nocleg w obszernej izbie chłopskiego domu niewiele dał snu i wypoczynku, ledwieśmy bowiem zasnęli, zaczął się odzywać kogut w sąsiedniej izbie, zapowiadając co parę minut zbliżający się dzień. Do lasu mieliśmy 7 wiorst i stanęliśmy tam koło 9. rano.

Przewodnik nasz, jak inni tego rodzaju

przedsiębiorcy w Rosji, kupuje niedźwiedzie w olbrzymich, rządowych lasach od chłopów, ktorzy odkryją gawry; cena ułożona od puda wagi; sposób zaś polowania jest dwojaki: albo strzelanie niedzwiedzia w gawrze, albo w ostępie, przed psami. Wybraliśmy ten ostatni, a jako warunek wyłączyliśmy polowanie na niedźwiedzice, mające przy sobie młode niedźwiadki, te bowiem również trzebaby koniecznie zabić wraz z matką. Chociaż nie można przypuścić, aby na tych olbrzymich przestrzeniach mogło kiedy zabraknąć niedźwiedzi, to przecież oszczędzanie matki z młodemi wydawało się nam wskazane.

Przewodnik M. ruszył na godzinę przed nami i kiedy po uciąźliwej drodze przez jary i zwarte drzewostany stanęliśmy na miejscu, wszystko już było przygotowane. Na cichą komendę obstąpiło kilkudziesięciu ludzi również cicho i ostrożnie wskazaną im przestrzeń lasu w obwodzie około 1 kilometra. Tworzyli oni trzy boki, my zaś stanęliśmy w środku czwartego, na wylosowanych przedtem stanowiskach. W odległości kilkudziesięciu kroków od zewnętrznych stanowisk — ku linjom, obsadzonym przez ludzi, pociągnięte były sznury z płatami kolorowego sukna, zdarza się bowiem, że niedźwiedź wyjdzie z ostępu, przedarłszy się przez czertę, nigdy jednak nie udzerzy w miejsce, otoczone temi płatami. Każdy z nas miał przy sobie strzelca z oszczepem (rohatyną) — zwyczaj, od którego przewodnik nasz nigdy nie odstępuje. Jego własna rohatyna wykazuje ślady ukąszeń niedźwiedzi, które „podpierał", broniąc myśliwego i siebie w wielu najróżniejszych przygodach.

Mnie przypadło stanowisko trzecie, zatem na skrzydle. Po prawej miałem towarzyszy, po lewej w dali pierwszych ludzi ostępu. Przed sobą mieliśmy wszyscy to samo podszycie, a więc nie widać było w głąb miotu dalej, niż na kikadziesiąt kroków. Ludzie zachodzili z dwu stron. Po zamknięciu się ostępu podnosi czerta krzyk, który już do końca nie ustaje. Równocześnie wchodzą w ostępy pomocnicy-strzelcy z rohatynami i psami. Są to duże syberyjskie „Łajki" o długim włosie, mądre i odważne. Psy wkrótce znajdą niedźwiedzia, ruszają go z barłogu i wówczas dojdzie myśliwego pierwszy głos psa — niechybny znak, ze niedźwiedź ruszył. Po chwili też doszedł mnie ten głos, a po dalszych kilku minutach byłem już pewien, że gon zbliża się ku nam, i to ku mojej stronie! Pies atakował głośno i zajadle. Przygotowany byłem do strzału i z zapartym oddechem wpatrywałem się w las przedemną. Głos psa dochodził mnie już z odległości nie większej, niż sto kroków, a jeszcze nie mogłem niczego dojrzeć. Wtem po lewej, tam gdzie podszycie było najgęstsze, spostrzegłem ruch ciemnej masy. Na czyste wypadł duży brunatny niedźwiedź — pies tuż za nim. Niezapomniana to dla myśliwego chwila! W głębokim śniegu pędził galopem, dziwnym i charakterystycznie okrągłym ruchem, nie zważając wcale na ludzi i zwracając tylko na prawo swój łeb do psa, który pokazywanych mu zębów wcale się nie bał i dalej cięto go atakował.

Byłem złożony i w chwili kiedy mnie mijał na kroków piętnaście, strzelałem w przód. Padł, uderzywszy o drzewo, i w chwilę potem stałem przy pierwszym moim niedźwiedziu. — Było to 5—6 letnia niedźwiedzica o szerokiej głowie i ślicznem, brunatnem futrze.

Wrażenia tej chwili nie mogę opisać. Jeszcze z niego nie ochłonąłem, kiedy oświadczono nam, że opodal otropiony jest drugi niedźwiedź. „Obracamy się" brzmiała komenda, zupełnie jak na zajączkowem polowaniu u nas. — Wierzyć nam się nie chciało, aż dopiero kiedy ostęp zamknięto, a w chwilę potem pies się odezwał, wiedzieliśmy już napewno, że niedźwiedź jest i że ruszył.—Tym razem przestrzeń była większa i widocznie zwierz próbował wyjść, on bowiem to się zbliżał, to znowu oddalał, aż wreszcie z mego stanowiska zobaczyłem niedźwiedzia, nadsłuchującego i ostrożnie zbliżającego się na skrzydło, na którem stał nasz towarzysz T. P. — Znikł mi za wywrotami, a po chwili padł strzał i usłyszałem głośny wykrzyknik z gratulacją ze strony naszego przewodnika, który z rohatyną w ręku stał obok szczęśliwego myśliwego.

Z kolei należał się obecnie niedźwiedź trzeciemu naszemu towarzyszowi. — W niedalekiej odległości, bo zaledwie kilkuset metrow, stanęliśmy w trzecim ostępie, bardzo blizko siebie, tak, aby br. S., na którego kolej wypadała, mógł z pewnością dojść do strzału — nawet, gdyby niedźwiedź wyszedł na nie mającego tym razem strzelać. — Podszycie było mniej gęste; drągowina dozwalała widoku na dalszą przestrzeń, ku kępie z wywrotami, w których spodziewano się barłogu.— Wkrótce znów pies się odezwał i w chwilę potem zobaczyliśmy niedźwiedzia, który wytknął z gąszczu i zaraz zawrócił. Musiała go jednak i czerta zobaczyć, gdyż wrzask się spotęgował. — Pies atakował tem zajadłej i niedźwiedź ponownie wychynął z gąszczu. — Br. S. — tym razem już na znaczniejszą odległość — posłał mu z Mannlichera 2 kule, które go na miejscu położyły. W przeciągu więc kilku godzin każdy z nas ubił pierwszego swego niedźwiedzia. — Gratulowaliśmy sobie wzajemnie niezwykłego rzeczywiście rozkładu, gdyż nie często chyba się zdarza, aby w przeciągu kilku zaledwie godzin, na niewielkim obszarze dało się wytropić, osaczyć i ubić trzy niedźwiedzie. — Zdobycz naładowano na sanie i uszykowano się do powrotu. — Przewodnik widocznie był z nas zadowolony, gdyż zawyrokował: „Charaszo strelajut mołodcy", poczem i naganiacze zadowoleniu swemu dali wyraz trzykrotnem „hurra".

Wracamy do kwatery, cała wieś się zbiega, odbywa się ważenie niedźwiedzi, fotogra-

łowanie, wreszcie zdejmują skóry, a po posiłku ruszamy dalej.

Mieliśmy z górą 60 wiorst do następnego niedźwiedzia. W najbliższej wsi, na postoju zmieniliśmy konie i stanęliśmy wreszcie wieczorem w dużej wsi Sz., położonej na trakcie Petersbursko-Archangielskim. — Po krótkim spoczynku, wczas rano, ruszyliśmy dalej, gdyż do lasu trzeba było odbyć kilka wiorst. Los przeznaczył następny strzał br. S. i tu podziwialiśmy wprost intuicyjny dar orjentacji naszego przewodnika M., który nigdy w danem miejscu poprzednio nie był, lasu nie znał, a przecież po rozejrzeniu się w terenie, wskazał na pewno miejsce, gdzie widoki strzału więc uderzał na to jedno miejsce, wzkazane przez doświadczonego przewodnika.

Po przebytych siedmdziesięciu wiorstach stanęliśmy późno w nocy w miasteczku O., mającem pocztę i telegraf i zastaliśmy wiadomość, że następny niedźwiedź jest otropiony, w znacznej jednak odległości. — Na odbycie potrzebnych 150 wiorst na północ, wzdłuż wybrzeża Onegi i na powrót nie starczyłoby czasu, zaniechaliśmy więc tego projektu i tej samej jeszcze nocy, około piątej rano wróciliśmy do S., siedziby naszego przewodnika,— Należał nam się wypoczynek, więc znów rozbito łóżka polowe, na których pokrzepiliśmy się kilkogodzinnym snem.



Z lasów dziewiczych: Ryś i sarny.

miały być największe.—Tam stanął br. S. Stanowisko to było na skrzydle, a za niem biała, duża, widna przestrzeń zamarzniętego bagniska.

Po zamknięciu ostępu, mimo krzyku czerty, niedźwiedź nie ruszył. — Minęło z pół godziny, w czasie której słyszeliśmy wyraźnie, jak pomocnicy-strzelcy nawoływali psy, dodając im ochoty, przyczem nie przebierali pod adresem niedźwiedzia w mało salonowych zwrotach i wyrazach, w które język rosyjski tak jest obfity. Wreszcie odezwało sie zajadłe „łajanie" psa — niedźwiedź ruszył. — Słyszeliśmy wyraźnie, że gon zbliżał się ku br. S., strzału jednak nie było. Głos się oddalił, poczem za chwilę zbliżył się ponownie ku temu samemu stanowisku. Strzału jednak jeszcze nie było, dopiero, gdy niedźwiedź po raz trzeci się zbliżył i lepiej wyszedł, padł strzał, a niedźwiedź, ugodzony w łeb z odległości kilkunastu kroków, padł nieżywy. — Trzy razy

Pierwszy nasz posiłek wypadł już koło południa, a gospodyni domu, wiedząc, że przez kilka dni żyliśmy tylko konserwami, sucharami i herbatą, przygotowała nam ciepłą strawę w obfitem zestawieniu: pierwszem daniem była kawa, drugiem pieczone pardwy i jarząbki, potem zupa z miętusa, a na zakończenie czarna kawa i nieodzowny czaj. Po takim wydatnym posiłku ruszyliśmy znowu, aby przebyć 92 wiorst już w kierunku ku stacji kolejowej, do miejscowości N., gdzie sygnalizowano dużego niedźwiedzia. — O niedźwiedziu tym dowiedział się M. gdyśmy jeszcze tą samą drogą jechali i kupił go, zaniechawszy tylko spisania umowy. Jakież więc były nasze zdziwienie, gdyśmy przyjechali do N. w nocy i dowiedzieli się, że w międzyczasie był już ktoś inny, podkupił nas, a w formalnej piśmiennej umowie, którą nam przedłożono, nałożył w razie jej niedotrzymania

karę konwencjonalną w kwocie 50 rubl. Kwota mogła sądownie być zaskarżoną. — Spółka z trzech chłopów nie chciała więc słyszeć o dotrzymaniu poprzedniej, ustnej umowy, z naszym przewodnikiem. — Trzeba też było wielu argumentów, zapewnienia zwrotu tej kary i pomocnego wielce w tych pertraktacjach autorytetu naszego przewodnika, aby sprawę pomyślnie ubić. — Nocleg nie był przygotowany; w izbie gospodarza domu był odstraszający zaduch i gorąco, wskutek czego woleliśmy umieścić sie w nieogrzanym pokoju na piętrze, w którym nad ranem, po całonocnem paleniu dużemi łuczywami w piecu piekarskim, termometr wskazywał plus 2°. Br. S. miał podążyć na południe do najbliższej kwatery, w kierunku stacji kolejowej i tam nas oczekiwać.

Do lasu wybraliśmy się więc tylko we dwóch z całym sztabem strzelców. — Odległość do otropionego niedźwiedzia miała wynosić 25—30 wiorst i tę drogę miała odbyć za nami naganka ze wsi pieszo. — Kilka wiorst za wsią wyjechaliśmy na ogromną płaszczyznę zamarzniętego błota, którą w lecie przebyć podobno trudno; pojedyńcze sosny w pośrodku, kępkami rosnące, przypominają obrazy Fałata z polowań na łosie. Łosi też tu dużo; trafiają się i reny. Z drapieżców, prócz niedźwiedzia jest wilk i ryś, ostatni podobno w znacznej ilości. Polowanie na niego odbywa się w niezwykły sposób. Strzelcy idą w trop na nartach, ruszają rysia i gonią; zwierz w głębokim śniegu szybko uciekać nie może, znużony wreszcie ustaje, a strzelcy ubijają go pałkami.



Buńczuczny napastnik.

Niedźwiedzia, na którego mieliśmy polować, widziano już poprzednio na nieudanem na niego polowaniu. Zmieniał on też wskutek tego dwukrotnie gawrę i tem zdradził swe miejsce pobytu, że z gąszczu wyszedł poza kraj lasu na błoto, gdzie zdala w słońcu olbrzymi jego trop wyraźnie było widać. — Tak go odkryto. — Bagnem przebyliśmy wiorst około 16, drogą jako tako saniami utartą. Ostatnich 10 wiorst przebyć musieliśmy bez drogi, w tak głębokim śniegu, że konie niemal całe się w nim zapadały. Wysuwano też co chwila innego konia na czoło, który ledwie kilkanaście minut mógł podołać torowaniu drogi innym. Tak zbliżyliśmy się do brzegu lasu, skąd już tylko o kilkaset metrów znajdować się miał otropiony niedźwiedź. — W mgnieniu oka rzucono koniom siano, rozniecono ognisko i godzina czasu minęła do chwili, gdy nam oświadczono, że wszystko gotowe. W tym też czasie nadeszło ze wsi kilkudziesięciu ludzi, przeważnie na nartach. — Przestrzeń ostępu była tym razem większa, a że było nas tylko dwóch, musiano ku czercie dłuższą linję otoczyć płatami. — Trop wskazywał na dużego niedźwiedzia. Wszyscy powtarzali: „bolszoj miedwied“ i z większem niż zwykle przejęciem wskazał nam M. stanowiska, które los nam przeznaczył. Miejsca na nie były przez M. wybrane na naturalnej przezórce, mogliśmy więc mieć dobry wystrzał. Ostęp zamknięto, czerta podniosła zwykły swój wrzask i po chwili usłyszałem psa. Głos jego wydawał mi się innym niż zwykle i niebawem ustał. Nie umiałem sobie tego zrazu wytłómaczyć. Z górą godzinę staliśmy nieruchomie, nasłuchując, czy się pies znowu nie odezwie i już przypuszczałem, że słońce zajdzie, a niedźwiedź z ostępu nie wyjdzie, gdy zauważyłem skośne przed sobą poruszenie się ciemnej masy.

Miałem wówczas już pewność, że to niedźwiedź, który — odpędziwszy psa—sam ostrożnie się zbliżał, ażeby wyjść z matni. Jeszcze chwila i zobaczyłem go na 30 kroków, na przezórce. Szedł stępa z podniesioną głową, niemal cały zapadając się w głęboki śnieg. Strzeliłem w tę głowę, sam nie wiem kiedy.— Nie postąpił już ani kroku.—Był to wspaniały, prawie czarny niedźwiedź, jak mówiono, może dziesięcioletni. Z pięciu ubitych niedźwiedzi nie ruszył się żaden po strzale. Dowodzi to tylko — wbrew zdaniu, które się nieraz spotyka, że i niedźwiedź, dobrze trafiony, pada na miejscu.

Na dwóch ściętych drążkach z trudem wywleczono niedźwiedzia na kraj lasu, gdzie podjechały konie i wkrótce odbywaliśmy powrotną drogę przez olbrzymie moczary.—Wrażenia wspaniałych łowów i przebytych emocji były tak silne, że zapomnieliśmy o posiłku,

który tego dnia dostał nam się dopiero około północy, na postoju. Tam też zjechaliśmy się z opuszczonym rano towarzyszem, br. S., który niecierpliwie nas wyglądał. Do stacji, od której dzieliło nas jeszcze 45 wiorst, dojechaliśmy nad ranem, a już wieczorem tego samego dnia byliśmy na galowem przedstawieniu w maryjskim teatrze w Petersburgu i na balu polskim, gdzie mogliśmy podzielić się z wrażeniami z wielu spotkanymi tam znajomymi z kraju, jakoteż przedewszystkiem podziękować państwu Wincentostwu Koziełł-Poklewskim, panu Alfonsowi Koziełł-Poklewskiemu i pani Chrzanowskiej za rady i życzliwe, a tak cenne wskazówki i ułatwienia w całej naszej wyprawie. — Uderzał nas przytem ciągle kontrast między wczorajszym jeszcze pobytem w pierwotnym borze, a błyszczącem i świetnem dzisiejszem otoczeniem.

Wrażenia z tajgi z nad jeziora Onegi pozostaną dla nas naprawdę niezatarte. W 6 dniach i nocach przebyliśmy 650 wiorst saniami. Mieliśmy trzy dni królewskich łowów, uwieńczonych rozkładem 5 niedźwiedzi. Pobyt w puszczy, w otoczeniu ludzi z zapałem łowiectwu oddanych, dzielnych i uczciwych, przedewszystkiem zaś kompania miłych towarzyszy prawdziwych, ktorzy z cudzego powodzenia tak się cieszyć umieli, jak ze swego własnego — to wszystko złożyło się na wymarzone warunki. Byłbym tylko pragnął, aby i inicjator naszej wyprawy, który poniósł dla niej najwięcej trudów, miał był spotkanie, jak my, z drugim jeszcze niedzwiedziem. Pocieszam się jednak myślą, że nietrudno mu będzie powetować to sobie w przyszłości, a św. Hubert niech da, abym tego był świadkiem.

(„Łowca" — Lwów). *J. G.*

W. OLSZOWSKI.

JAK SIEJE LASY NATURA?

(Ciąg dalszy).

Ostatnie dwa środki wykonywają swoje zadanie rzeczywiście po gospodarsku, bo niszczą to, co chore, słabe i nie warte dalszego hodowania, pozostawiając przy życiu silniejsze osobniki, choć dość często trafiają się wyjątki przez zarażanie się sąsiednich silniejszych.

Ale pierwsze cztery środki działają zupełnie odwrotnie, bo łamią i niszczą właśnie to, co jest najlepsze, mianowicie drzewka i drzewa, które rosnąc w gąszczu, wystrzeliły najwyżej w górę i są przez to najprostsze, najgładsze, najmniej zbiegłe ku wierzchołkowi, najlepiej rozwinięte w korzenie i największą mające masę drzewną, a jeżeli stały się łatwo łamliwe, czyli nieodporne przeciwko wiatrom, okiści, gołoledzi i sadzi, to tylko wskutek zbytniej gęstości otaczającej grupy drzew. Gdyby drzewostan taki ręka ludzka we właściwej porze i prawidłowo przerzedzała, nie pozostawiając tej sprawy przypadkowemu i ślepemu działaniu natury, wtedy te najbujniejsze i najcelniejsze pod każdym względem drzewka byłyby właśnie zarazem i temi najsilniejszemi, o wyhodowaniu których marzą dzisiejsi postępowi leśnicy i byłyby jeszcze dorodniejsze, aniżeli te, ktore przyroda po przerzedzeniu swojemi środkami zbyt gęstego zagajnika wyhodowywa już z pozostałych słabszych, poprawiając ich wzrost po tem naturalnem przetrzebieniu.

Nieporozumienie pomiędzy uczonymi, głoszącymi powrót do natury, a rozważnymi doświadczonymi praktykami polega na tem, że pierwsi zapatrują się na sprawę przez szkła olśniewającej ich wzrok teorji Darwina i wywnioskowali sobie, że walka istot żyjących o byt jest przyrodzoną koniecznością i że ona jest jakoby warunkiem wychodowania najsilniejszych i najcelniejszych drzew; drudzy zaś doszli do przekonania, wręcz odwrotnego, że walka o byt w przyrodzie istnieje i jest nieunikniona, ale jest ona przyczyną wzajemnego duszenia się, gnębienia i uśmiercania zbyt obficie rodzących się istot i doprowadzałaby do zmarnienia wszystkich bez wyjątku przez ciasnotę i brak pożywienia, gdyby taż sama natura nie obmyśliła odpowiednich środków stopniowego przerzedzania zbyt gęstej roślinności i wzmocnienia się pozostałych.

Błąd pierwszych uczonych polega na tem, że walka o byt w świecie roślinnym jest tylko samem poszukiwaniem pożywienia, niczem więcej, gdyż rośliny, jako przyczepione stale do swego siedliska, nie mają możności zmagania się ze swoimi sąsiadami i wyrabiania w sobie przez taki ruch i gimnastykę większej siły; a uczeni widzą taką samą walkę w świecie roślin jaka się prowadzi w świecie

zwierzęcym, w którym walka o byt i ciągłe zapasy toczone z przeciwnikami mają taki skutek, że zwycięża zawsze silniejszy, sprytniejszy, rozumniejszy, doswiadczeńszy i lepiej wyćwiczony. Rośliny o pożywienie gazowe w powietrzu nie prowadzą żadnej walki między sobą, bo choćby najgęściej rosły, wszystkie mają jednakowy do niego dostęp; o pożywienie zaś zawarte w ziemi, jeśli go dla wszystkich nie wystarcza, także nie walczą z sobą, zdobywają go tylko te, które mają korzenie bliżej i dogodniej umieszczone dla wciągnięcia zawartego w samem miejscu pokarmu, albo które rozbudzają się z zimowego letargu wcześniej od sąsiednich. Najczęściej bywa tak, że gdy w grupie drzewostanu zanadto gęstego gleba nie jest w stanie wyżywić wszystkich drzew, pożywienie rozdziela się równomiernie pomiędzy wszystkie, wskutek czego wszystkie też rosną słabo i powolnie, dopóki okiść, sadź, gołoledź, burza, owady, pasożyty lub ręka ludzka nie przerzedzi ich i nie pozwoli pozostałym wzmocnić się we wzroście.

Potwierdzają to doświadczenia uczonego leśnika Bordaletowa, wynalazcy metody hodowli najsilniejszych i wyznawcy teorji walki o byt w świecie roślinnym Gdy na próbę zasiał w rosadniku w r. 1907 nasienie sosnowe w ilości $^1/_2$ funta na $4^1/_2$ metra kwadr. to jest pięć razy gęściej, niż zwykle się sieje, wszystkie siewki były tak słabe, cienkie, bez pączków wierzchołkowych, że nie było prawie ani jednej siewki zdatnej do sadzenia. Chciał naśladować naturę i otrzymać najsilniejsze tylko, choćby w małej ilości, drogą walki o byt. Zdrowa logika rozumowania powinna go była doprowadzić do wniosku, że im będzie siał rzadziej, tem więcej otrzyma siewek silnych, zdatnych do sadzenia, albo zadowolnić się temi kilku silnejszemi siewkami otrzymanemi na gęsto posianej grządce, co byłoby akurat zgodne z postępowaniem natury, która sieje miljony ziarn, a z nich wychodowywa normalnie setki drzewek. Bordaletów zastosował do dalszych dociekań wykrętną logikę rozumowania, bo ta zdrowa praktyczna logika to taka prosta, łatwa do pojęcia nawet dla analfabetów, bez charakteru ani nawet pozoru naukowości, a jemu jako uczonemu wypadało przecież wymyślić coś, coby miało charakter doświadczeń wysoce naukowy i było popisem uczoności. Wyprowadził więc wniosek według swojej syltogistycznej metody rozumowania, że gdy gleba jest za uboga, aby dostarczyć mogła pożywienia dla gęsto zasianych roślin, należy więc wprowadzić do niej sztucznie związki odżywcze.

Doszedłszy do takiego wniosku założył już większy rozsadnik na 100 sążniach kwadr. na którym wysiał 50 funtów nasienia sosny, a po wzejściu polewał siewki roztworem mieszaniny fosforanu wapnia, azotanu wapnia, azotanu sody, siarczanu amonu i magnezji. Ze szkółki tej otrzymał 1.500.000 siewek, z których tylko 20% to jest 300,000 wytrzymały sztuczną ciasnotę i rozwinęły się silnie. Jakkolwiek p. Bordaletów w sprawozdaniu swojem (Лѣсной журналъ 1911 N. 3 i 4) wyjaśnia, że tak wyhodowane jego siewki sosnowe w porównaniu z jednocześnie zasianemi zwykłym sposobem pięć razy rzadziej i bez nawozów sztucznych mają po przesadzeniu wzrost o wiele silniejszy, jednakże pozwalam sobie wątpić o tem, czy te sadzonki utrzymają się w tym dobrym wzroście w latach późniejszych, jeśli nie będą zasilane chociaż co kilka lat nawozami sztucznemi, i nie wyrodzą się po kilku latach do normy zwykłych samosiewek, jak wyradzają się wyborowe gatunki zbóż, kartofli i buraków, wytwarzane przez wzorowe gospodarstwa rolne za pomocą kikoletniej selekcji.

Trzyletnie dopiero doświadczenia p. Bordaletowa są terminem za krótkim do stawiania pozytywnych wniosków. P. Bordaletów wyszedł z założenia powrotu do natury, a w wykonaniu poszedł w kierunku najwyższej możebnej w leśnictwie sztuki. Podstawą naukową jego systemu hodowli lasu jest selekcja i użycie do sadzenia najsilniejszych egzemplarzy. Czyż w tem jest co nowego, jaki świeży imponujący wynalazek, odkrycie nowych praw przyrody? Nie ma nic podobnego.

Przecież nasza zwykła hodowla lasu przez wysadzenie na jednym morgu około 12—16 tysięcy sadzonek sosny wyhodowanych w rozsadniku, a użytych po odrzuceniu około 40% słabych egzemplarzy, a następnie wychodowaniu z nich po latach 80 maksymalnie 400 do 500 drzew, jest to ciągła selekcja tych właśnie najsilniejszych z pomiędzy silnych za pomocą perjodycznych co lat 10 trzebieży. Metoda p. Bordaletowa odróżnia się tylko zadaniem siewkom w rozsadniku silnej dawki nawozów sztucznych.

Przypomina mi to wykład głośnej w swoim czasie teorji Liebiga, który dla udowodnienia, że rośliny czerpią węgiel z kwasu węglowego powietrza, a pierwiastki mineralne z ziemi, o ile się w niej znajdują w stanie zdatnym do asymilacji, wyhodował kilkadziesiąt źdźbeł z kłosami pszenicy na szkle, rozumie się tłuczonem, podlewając ten szklany miał roztworem takich związków chemicznych, które przy rozbiorze słomy i kłosów pszenicy wynalazł. Ale pomimo naukowej prawdy tego doświadczenia, żaden najwykształceńszy w chemji rolnik nie próbuje siać pszenicy na szczerym żółtym lub białym piasku prawie identycznym z miałem szklanym.

Kwestja hodowli roślin najsilniejszych już dawno i ostatecznie rozwiązana została przez rolników i ogrodników, najważniejszych hodowców roślin. Przedewszystkiem rolnicy i ogrodnicy starają się o doborowe nasiona, a co do roślin doborowe flance, co osiągają przez selekcję, czyli odrzucenie tego, co słabe i drobne.

Drugą czynnością ich jest siew tak zbóż, jakoteż wszelkich siewnych roślin tak rzadko, ażeby słoma i łodygi ich mogły rozwijać się silnie, szczególniej, aby wytwarzały najsilniej-

sze organa nasienne i same nasiona, a łodygi i słoma żeby były tak silne, iżby nie były łamane i powalone od deszczów i wiatrów. Doświadczenie praktyczne doprowadziło rolników do ustanowienia norm stałych co do takiej gęstości siewu i sadzenia każdego oddzielnego gatunku, aby przy niej hodowana roślina mogła wyrastać silna, niezależnie od wyzyskania całej powierzchni gruntu i jego siły na korzyść zasianego gatunku. Znane jest powszechnie staranie i ścisły dozór ogrodników, aby nie za gęsto były zasadzone kartofle, buraki, kapusta, bo wyrosłyby drobne, aby warzywa siane, marchew, buraki i inne były wcześnie przerwane, bo za długo utrzymane w ciasnocie zadrobnieją wszystkie i nie będzie wcale tych najsilniejszych.



A drzewka owocowe, tylko w rozsadniku, dopóki są małe i nie rozwinięte w gałęzie, mogą stać gęsto, po kilku zaś latach, gdy się przesadzą do ogrodu, już się umieszcza je w takiej od siebie odległości, aby mogły rozrosnąć się w korony i rodzić obficie owoce aż do ich starości. A jakaż to jest zasada wszystkiego pielenia? Zniszczyć te rośliny dzikie, wrzucające się między hodowane, aby im nie zabierały z ziemi tego pożywienia, które dla nich jest przeznaczone i nie zagłuszyły ich swojemi łodygami i liśćmi. Główną więc zasadą wszelkiej hodowli roślin w rolnictwie i ogrodnictwie jest, oprócz zasilania ziemi wyczerpywanej ciągle przez coroczne zbiory, nie dopuszczać bezwarunkowo ciasnoty roślin, i jeśli taka powstaje, powstrzymać ją w samym początku przez pielenie i przerywanie, co w leśnictwie ma nazwę trzebieży.

A skoro tak jest i zarówno nauka, jak i praktyka rolnicza i ogrodnicza już dawno tego dowiodły, to dlaczego niektórzy uczeni, czy może tylko pozujący na uczoność leśnicy wpadli na pomysł tworzenia umyślnej ciasnoty w rozsadnikach leśnych, jakoby w celu wyhodowania lepszych drzewostanów, zamiast przyjąć gotową, dowiedzioną w rolnictwie i ogrodnictwie zasadę selekcji nasion i sadzonek i możebnie rzadkiego siewu i sadzenia? Przecież zasady fizjologiczne, biologiczne i ekologiczne życia roślin w ogóle, a zatem i drzew, są jednakowe. Tak między roślinami rolnemi, ogrodniczemi, jak i leśnemi są jedne gatunki lubiące cień, drugie potrzebujące światła, jedne rosnące dobrze na suchej ziemi, inne na wilgotnej, lub nawet błotnistej, jedne chętnie się osiedlają na piasku, inne na glinie, a jeszcze inne na czarnoziemie. I z temi własnościami roślin muszą się przedewszystkiem obeznać gospodarze tak rolni, jak i leśni, zanim się wezmą do praktyki. A co do tak zwanej ekologji, czy gromadnego życia roślin, to wszystkie się mnożą i lubią żyć gromadnie. Jak w każdej regule są wyjątki, tak i w tem są, ale rzadkie bardzo. Rośliny żyjące pojedynczo, samotnie, są to wyjątkowe okazy, najczęściej zabłąkane przypadkowo do cudzej ojczyzny.

Ale rolnicy i ogrodnicy zrozumieli oddawna, że warunkiem hodowli roślin jest nie narażać je w ciasnocie na walkę o zdobycie pożywienia, wilgoci i światła i nie osłabiać je tą walką, tylko przeciwnie uwalniać je od tej zużywającej ich siły pracy od samego początku ich wzrostu przez odpowiednią kulturę, rzadki siew i sadzenie, pielenie i przerzedzanie. Leśnicy zaś znacznie później zapoznali się z teorją Darwina walki o byt, a niezrozumiawszy jej dobrze, dopatrzyli się jej w życiu roślin, chociaż jej tam niema, a ta pozorna walka o zdobywanie pożywienia, która wśród roślin się odbywa, ma zupełnie inny wpływ u nich, niż u zwierząt, bo nie wzmacnia ich, lecz im szkodzi. Zadaniem więc hodowcy roślin i drzew jest niedopuszczać do takiej walki i hodowane rośliny odpowiedniemi środkami od niej uwalniać.

Różnica w hodowaniu roślin rolnych i ogrodowych, a takiejże hodowli leśnych zależna jest tylko od celu, dla jakiego się daną roślinę hoduje. Tak np. rolnik, gdy sieje wykę z jęczmieniem i owsem, aby mieć z tego mieszankę dla wykaszania na zielono jako karm dla koni i bydła, sieje gęsto, aby wyro-

sła wysoko, bo nie chodzi mu wcale o ziarno; gdy zaś sieje te same nasiona dla produkcji ziarna, sieje je rzadko. Ogrodnik sadzi drzewa i krzewy owocowe rzadko, aby się rozrastały w szerokie a nizkie korony, bo celem jego jest nie produkcja drzewa, tylko owoców. Leśnik zaś ma za zadanie wyhodować w lasach nietylko jaknajwiększą masę drzewa, lecz oprócz tego ta masa powinna być najcelniejsza i możebnie najwyższej wartości, a ta celność i wartość zależne są od wyniosłości, prostości i gładkości strzał. Przymioty zaś te dadzą się osiągnąć przez umiejętną hodowlę lasu, to jest albo umiejętny kierunek naturalnemi sposobami odnowienia, albo racjonalne, umiejętne prowadzenie co lat dziesięć trzebieży, czyli stopniowego regularnego przerzedzania drzewostanu. Zasadę zaś prawidłowych i celowych trzebieży stanowi nie wytwarzanie sztuczne ciasnoty i walki o byt dla otrzymania jakoby tą metodą najsilniejszych drzew, lecz odwrotnie oswobadzanie zagęsto stojących drzew od walki o zdobycie pożywienia i światła, niewystarczającego dla wszystkich, aby tym sposobem ilość pozostałych po trzebieży drzew uregulować w stosunku do zapasu produktów żywnościowych wilgoci i światła i zapas ten uczynić wystarczającym, a przytem dać możność drzewom oszczędzoną z walki o poszukiwanie pożywienia siłę zużyć na lepszy wzrost i powiększenie masy drzewnej.

Dowiódłszy, że wszystkie rośliny, a zatem i drzewa robią wprawdzie wysiłek przy poszukiwaniu pożywienia i światła, ale walki same z sobą o to nie prowadzą, jak to czynią zwierzęta, muszę wspomnieć cośkolwiek o tej rzeczywistej walce, jaką na podobieństwo zwierząt, prowadzą rośliny z napadającemi na nie wrogami, którzy dążą do ich uszkodzenia, gnębienia lub zniszczenia.

Najważniejszymi rozumie się wrogami są wszystkie zwierzęta roślinożerne. Przeznaczenie roślin na żer niezliczonego mnóstwa zwierząt jest właśnie tym głównym celem takiego urządzenia przyrody w świecie roślinnym, że wszystkie rośliny wydają nadzwyczajne masy nasion, że mają mnóstwo sposobów rozsiewania tychże i przenoszenia ich przy pomocy ptactwa, owadów i innych zwierząt na dalekie odległości, i mają prócz tego nadzwyczajną łatwość odrastania z pni i korzeni nawet w surowym klimacie po zmrożeniu corocznem nadziemnych narządów, a tym sposobem wyżywienie się wszystkich zwierząt roślinożernych jest przez przyrodę zabezpieczone.

Nie zapomniała przyroda i o swoim ulubieńcu człowieku, dla którego niezliczonej ilości potrzeb, nietylko koniecznych do życia, ale i kulturalnych i fantazyjnych, stworzyła i stwarza ciągle, oprócz mnóstwa gatunków roślin trawiastych, zielnych i owocowych, drzewa leśne i całe obszary lasów, złożone z najrozmaitszych gatunków drzew i krzewów, z których każdy nietylko wydaje inny rodzaj owocu lub nasienia, jadalnego przez zwierzęta lub człowieka, ale jeszcze wydaje drewno w każdym gatunku z innym układem słojów, z innym składem fizycznym i chemicznym i z innemi własnościami pożytkowemi, odpowiadającemi tym właśnie tysiącznym potrzebom. Najciekawsze zaś jest to, że drzewa lesne mogą formować swoją postać i nabywać cennych dla człowieka przymiotów, prostości, gładkości i wyniosłości strzał stosownie do wpływów zewnętrznych, a głównie oświetlenia z góry i mniejszego lub większego ocienienia z boków od drzew i krzewów sąsiednich.

Ta własność jest przyczyną, że i sama natura wyhodowywa w lasach sztuki proste, wyniosłe i gładkie, i leśnik prowadzący prawidłowe gospodarstwo leśne może wytwarzać w hodowli drzew warunki, ktorych następstwem są właśnie te cenne przymioty kształtu drzew. Różnica w działaniu w tym celu natury i człowieka jest ta, że ona nie może w swoim czasie usunąć przeszkód do należytego ukształtowania się drzew, że robi to niesystematycznie, dorywczo i miejscami na wyrywki, z czego powstają drzewostany nieregularne z pomieszaniem wszelkich wieków pojedyńczych drzew i ich grup, które zamiast sobie wzajemnie pomagać do nadania pożądanych kształtów, wzajemnie sobie przeszkadzają, bo wyższe głuszą te, co wzrosły niżej, a niższe zanadto podpędzają tamte w górę, więc bardzo wiele drzew jest nizkich, krzywych, rozrosłych w gałęzie i sękatych, a przy nich próżne luki. Leśnik zaś, poznawszy naturę drzew i warunki kształtowania się strzał, działa według wyrozumowanego systemu prowadzenia trzebieży i wyhodować może całe drzewostany jednowiekowe na mniejszych lub większych przestrzeniach, jak ogrodnik drzewa owocowe w takim wzajemnym do siebie stosunku odległości, że będą sobie wzajemnie tylko pomagać do uformowania prostych, gładkich i wyniosłych strzał i że strzały będą miały odpowiednią proporcję do wysokości, dającą im należytą odporność przeciwko wiatrom, okiści, sadzi i gołoledzi i masa drzewna nadanej przestrzeni będzie maksymalnie największa i najcelniejsza, bo nie będzie luk żadnych ani drzew krzywych, nizkich i przytłumionych, które przy trzebieży i selekcji będą w swojej porze usunięte.

(*D. c. n.*).

Ułatwienie dzikim kaczkom wylęgania.

Rzeczą niedającą się zaprzeczyć jest to, że od czasu prowadzenia intensywnie meljoracji łąk i pól gwałtownie zmniejszać się zaczęła ilość zapadających kaczek dzikich. Tam, gdzie nie tak dawno jeszcze rozciągały się wielkie bagna, dziś widzimy dobrze utrzymane łąki, a cały porządek gospodarstwa jest taki, że dzika kaczka ciągle jest niepokojona i nie może ani dobrze wysiedzieć, ani też dobrze wychować swoich młodych. Wobec tego właściciele jezior i stawów powinni tem większą zwrócić uwagę na te ptaki, tworzące jeden z najciekawszych okazów zwierzyny. Zapewnić dzikim kaczkom sposobność wylęgania w ciszy piskląt nie jest rzeczą tak trudną, ani też wcale kosztowną.

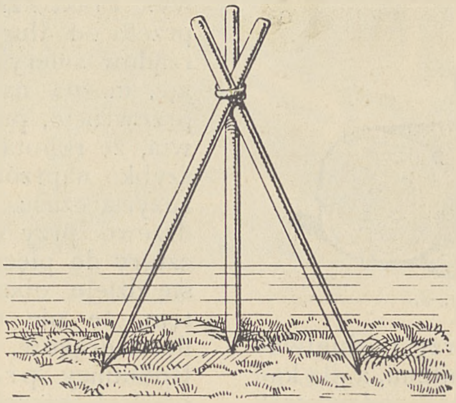


Fig. 1.

Jak wiadomo, dzikie kaczkie obierają sobie gniazda niedaleko od wód, bądź w zaroślach, bądź też nawet w samym lesie, gdzie bardzo często stają się ofiarami różnych drapieżników. Chcąc kaczki od tego uchronić, należy dać im możność wylęgania na samem jeziorze lub też stawie. Każde jezioro i każdy większy staw zazwyczaj zarośnięte są po brzegach gęstem sitowiem, w tem sitowiu zatem ustawia się i wbija mocno trzy drągi złączone w kształcie trójkąta.

Najlepiej wybrać w tym celu drągi dębowe, nie zanadto grube, ażeby zbyt prędko nie zgniły i mogły służyć na kilka lat. Taki trójkąt z drągów dębowych powinien się wznosić około 1 m. ponad normalny poziom wody, a górne jego końce, w tem miejscu, gdzie się z sobą schodzą, powinny być zbite gwoździami, albo też związane mocno drutem. Na wysokości 25 — 28 cm. ponad tafię wody umocowuje się pomiędzy temi trzema drągami rodzaj kobiałki plecionej. Ta kobiałka wgłębiona powinna mieć około 30 cm. średnicy w górnym brzegu. Ponad tą kobiałką na wysokości około 25 cm. przeciąga się około drąga mocny drut i tworzy w ten sposób plecionkę, na którą nakłada się kilka garści grubej trawy z sitowiem. Jeżeli jeszcze wyścielemy tę kobiałkę suchą trawą, to będziemy mieli wybornie nadające się gniazdo dla umożliwienia kaczce procesu wylęgania. Owa trawa z sitowia, umieszczona ponad kobiałką, ma na celu siedzącą na jajkach kaczkę uchronić przed promieniami palącego słońca, jak również odwrócić uwagę wron i wszelkich ptaków drapieżnych, a cel ten bywa w ten sposób zupełnie osiągnięty.

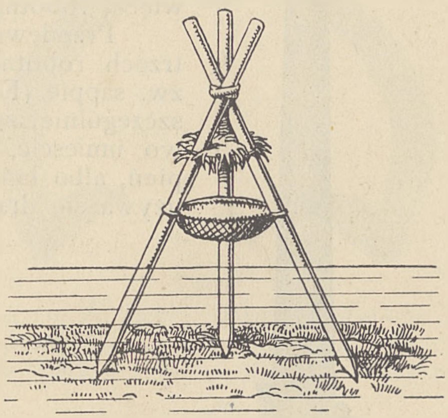


Fig. 2.

Ile takich sztucznych gniazd założyć na brzegu jeziora lub stawu, to już trzeba pozostawić uznaniu właściciela, w każdym razie jest rzeczą pewną, że trud poniesiony sowicie się opłaci, kaczki bowiem bardzo chętnie korzystają z wytworzonego im udogodnienia.

Jak bardzo odpowiadają celowi tego rodzaju urządzenia, przekonać się można w dobrach Krzeszowickich i Zatorskich, należących do sukcesorów przedwcześnie tragiczną śmiercią zmarłego namiestnika Galicji hr. Potockiego. W dobrach Zatorskich znajduje się około 2,000 morgów stawów zarybionych, z czego skorzystał nader energiczny łowczy p. Albus i założył wszędzie takie sztuczne gniazda. Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania, a nad stawami unoszą się dziś wprost nieprzejrzane chmary dzikich kaczek, dając myśliwym pole do rozrywki i popisu. Wszystkie gniazda są prawie zawsze zajęte, a czasem, gdy jedna kaczka opróżni gniazdo, już na niem siada odrazu druga.

Niezawodny ten sposób polecamy naszym myśliwym.

Przyrządy do transportowania drzewa.

Na innem miejscu, w rubryce zatytułowanej „Luźne uwagi“ poruszył „Bostrychus“, w artykule „Z naszych lasów“ sprawę naszego zaniedbania w gospodarce leśnej z ogólnego punktu widzenia.

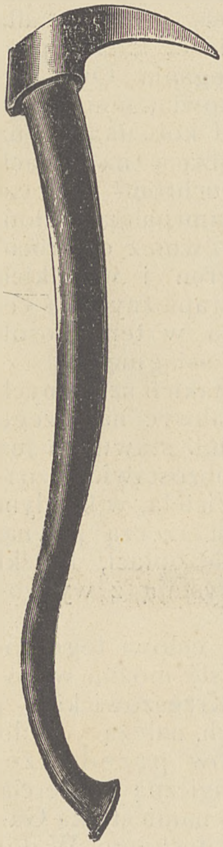


Fig.

To samo zaniedbanie w wysokim stopniu objawia



Fig. 2.

się również przy posługiwaniu się rozmaitemi, a dla każdego leśnika nadzwyczaj ważnemi przyrządami i narzędziami. Jakże często np. widzimy w ręku naszych nadleśnych tastry, które miejscowy majsterek kołodziejski zfabrykował za 20 kop.! Nieco więcej już rozpowszechnione są Göhlerowskie numeratory, lubo sam widziałem w wielkich rewirach, gdzie rocznie rąbie się drzewa za 100,000 rubli, że drzewo numerowano w sposób arcypremitywny za pomocą farby olejnej, albo kredy. Nawet w lasach rządowych miałem sposobność widzieć na własne oczy, i to niejednokrotnie, że posługiwano się żelaznemi numerami, wbijając je pojedynczo w drzewo.

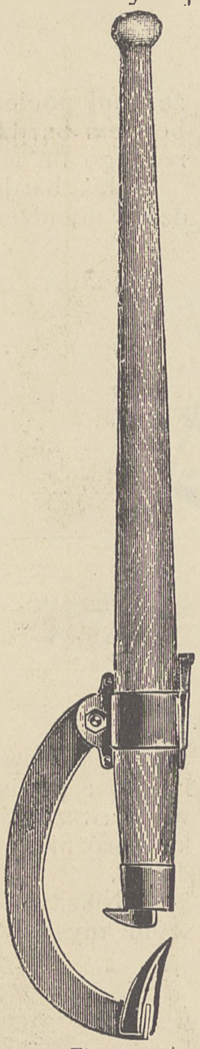


Fig. 3.

Pozostawiając na stronie inne, nadzwyczaj ważne dla każdego leśnika przyrządy, jak np. przyrządy do mierzenia wysokości, przyrostu i t. p., ograniczę się na razie na poruszeniu sprawy przyrządów, służących do transportowania drzewa.

Nasi robotnicy leśni poza piłą i siekierą nię znają już żadnych innych narzędzi, jak tylko drągi, za pomocą których wszystkie ścięte drzewa bywają obracane, przesuwane, podnoszone i t. d. Jakie niezliczone ilości tego rodzaju drągów zużyte bywają przy każdej porębie, ile trudu, pracy i straty czasu powoduje taki prymitywny przyrząd, to łatwo przedstawić sobie może każdy leśnik zawodowy. Praktyczni niemcy i austrjacy używają przeto od długiego już szeregu lat t. zw. przyrządów amerykańskich, któremi się posługując, można nawet najcięższą sztukę drzewa przewrócić, podnieść albo przesunąć, co sprawia, że robota może posuwać się nadzwyczaj szybko naprzód. W ten sposób oszczędza się zużycia czasu, pieniędzy i siły, każde bowiem drzewo przy użyciu tego przyrządu można o cztery do pięciu razy szybciej załatwić, niż to się dzieje obecnie, nie mówiąc już nawet o tem, że nie marnuje się takich ogromnych ilości drągów, które mogą być spieniężone. Robotnicy pracują prędzej, oszczędza się ich sił fizycznych, a w dodatku cała praca postępuje spokojnie i tak cicho, że często możnaby nie wierzyć, iż przy jednej porębie pracuje nad przygotowaniem drzewa 40-tu, albo i więcej robotników.

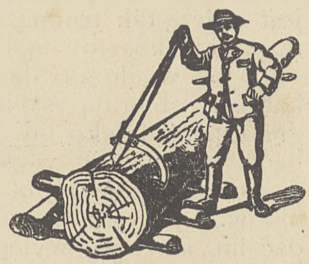


Fig. 4.

Przedewszystkiem na każdych dwóch do trzech robotników wypada jedna wspólna t. zw. sappie (Fig. 1 i 2), za pomocą której bez szczególniejszego wysiłku można każde drzewo umieścić, ażeby np. podsunąć pod nie pień, albo łańcuch. Do przewrócenia drzewa używa się drążka z hakiem (Fig. 3 i 4), które

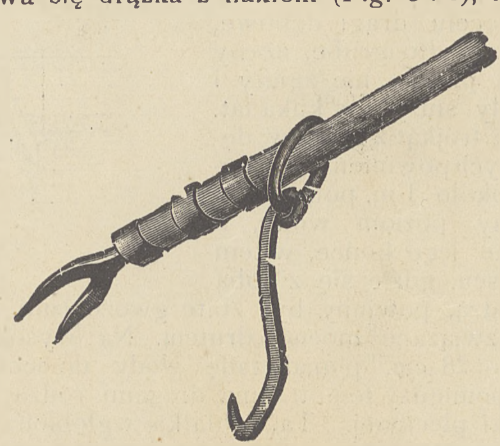
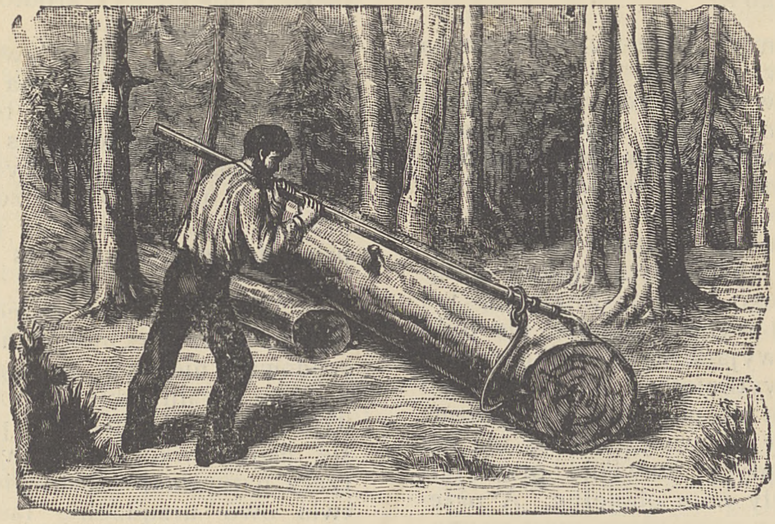


Fig. 5.

wyrabiane bywają w trzech wielkościach. Jak z załączonego tutaj rysunku widać, wstęga, która ten hak dźwiga, zabezpieczona jest od rozluźnienia przez płaski klin. Ten klin działa nietylko zabezpieczająco, ale również wzmacniająco na najbardziej narażoną na wysiłek

część dźwigów. Zawiaski są zaopatrzone w opatentowany przyrząd wzmacniający, który to przyrząd zapobiega, ażeby ruchomy hak nie spadł na ręce pracownika.

Jeżeli chodzi o to, ażeby bardzo ciężkie sztuki przesuwać z jednego miejsca na drugie, to używa się do tego celu wielkiego drąga (Fig. 5 i 6) wraz z trzonem jesionowym o 220 cm. długości i o długości haka 50 cm.; taki drąg waży 11 klg.



Fih. 6.

Lżejsze sztuki, które zazwyczaj musi brać na ramiona czterech ludzi, bywają transportowane za pomocą t. zw. dźwigów kantówkowych (Fig 7 i 9). Konstrukcję tego przyrządu łatwo sobie wyobrazić na podstawie załączonej obok ryciny, daje się on zaś znakomicie zastosować, zwłaszcza przy

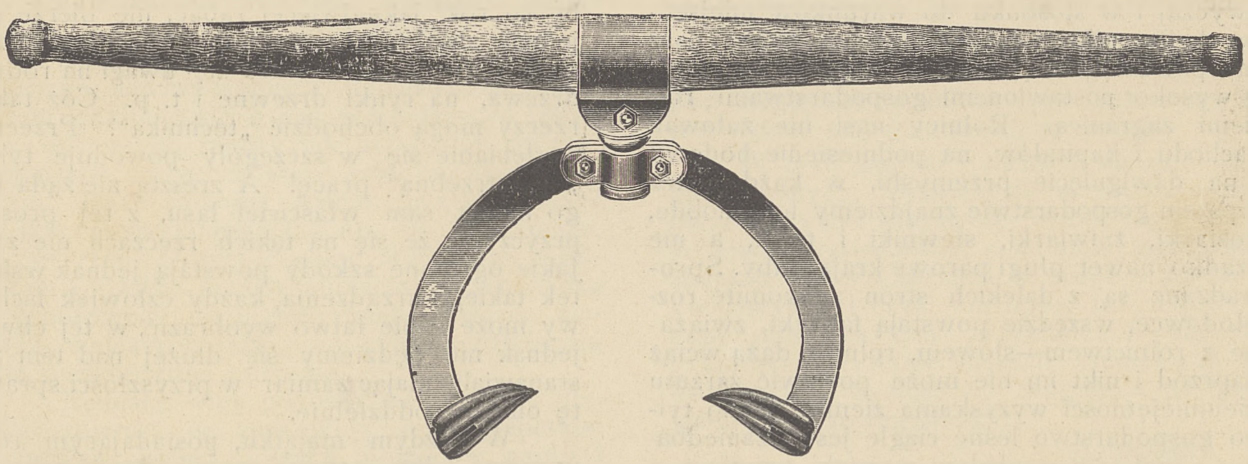


Fig. 7.

pociętych deskach, ze względu na to, że znaczniejszą liczbę desek, albo nawet całe drzewa można przy pomocy rolek belkowych dwoma ludźmi łatwo i wygodnie przetransportować.

Wspomnieć tu jeszcze należy o cęgach (kleszczach) do przeciągania drzewa (Fig. 10), które służą do przeciągania ściętych drzew, albo kantówek do punktu ładowania, ku czemu bądź zaprzęga się jednego konia, bądź też poleca się tę robotę wykonać kilku ludziom. Stosownie do grubości drzewa wyrabiane są te cęgi w czterech wielkościach, ażeby miały uchwyt 50, 60, 80 i 100 cm. Waga tych cęgów wynosi 10 ewent. 12, 20 i 28 klg.

Każdy praktyczny leśnik, dążący do tego, ażeby oszczędzać czas, pieniądze i siłę roboczą, ma do swojej dyspozycji cały szereg innych jeszcze środków pomocniczych, opis jednak tych środków pozostawiamy sobie na później, na razie wyrażając życzenie, ażeby przynajmniej przedstawione powyżej udogodnienia znalazły odtąd jaknajszczersze zastosowanie w naszych lasach. Wszystkie te przyrządy nabywać można w Centralnem Biurze Leśnem, Nowy-Zjazd Nr 7.

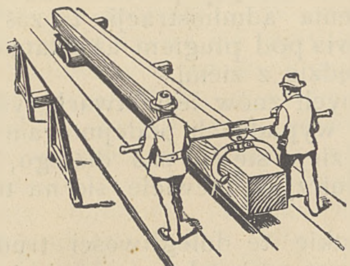


Fig. 8.

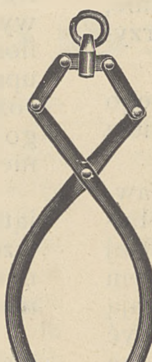


Fig. 10.

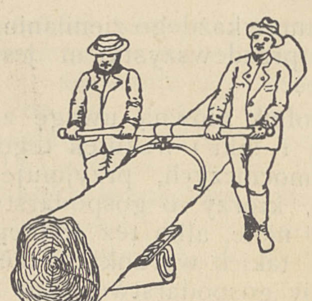


Fig. 9.

LUŹNE UWAGI.

Z naszych lasów.

Zdumiewającem wprost nazwać można zjawiskiem to, że w stosunku do naszych zachodnich i południowych sąsiadów gospodarka nasza leśna na ogół biorąc, ogromnie pozostaje w tyle, a nawet pod wielu względami stanęła na tym punkcie, na jakim stali ci sąsiedzi nasi już przed wiekiem. W krajach zachodu i południa postęp w gospodarstwie leśnem objawiał się na każdym kroku, dosięgnęło też ono takiego stopnia rozwoju, jak tego dawniej nawet wymarzyć sobie nie było można. U nas w wyjątkowych tylko razach podążano śladami wytkniętemi za granicą, po za tem jednak cała gospodarka prowadzona była tak, jak gdyby to wszystko nas nic nie obchodziło, i jak gdyby stawiane przez odbiorców żądania były nam obojętne. A przecież właśnie coraz w górę idące ceny powinny były nakłonić do skierowania pracy w lasach na inne tory, ażebyśmy mogli dotrzymać kroku górującym nad nami sąsiadom.

Każdy bezstronny obserwator musi przyznać, że rolnictwo rozwinęło się u nas nadzwyczaj i w stosunku do warunków miejscowych uczyniło one takie postępy, że kraj nasz nie potrzebuje się obawiać porównania nawet z wysoko postawionemi gospodarstwami rolnemi zagranicą. Rolnicy nasi nie żałowali zachodu i kapitałów na podniesienie hodowli i na dźwignięcie przemysłu, w każdem też lepszem gospodarstwie znajdziemy lokomobile, kosiarki, żniwiarki, siewniki i t. p., a nie rzadko nawet pługi parowe krają skiby. Sprowadzane są z dalekich stron znakomite rozpłodowce, wszędzie powstają fabryki, związane z rolnictwem—słowem, rolnicy dążą wciąż naprzód i nikt im nie może postawić zarzutu nieumiejętności wyzyskania ziemi. Jedno tylko gospodarstwo leśne ciągle jest w zaniedbaniu i pod tym względem stosunki panujące u nas porównane być mogą chyba tylko ze stosunkami na... Bałkanach.

Patrząc uważnie na taki stan rzeczy, musimy sobie zadać przedewszystkiem pytanie, jakie takiego zaniedbania mogą być przyczyny?

W naturze każdego ziemianina polskiego leży to, że przedewszystkiem jest rolnikiem z krwi i kości.

Jako rolnik główną uwagę zwraca zawsze na pola i łąki i wskutek tego, potrzebując rąk pomocniczych, przyjmuje najczęściej agronomów, którzy o gospodarstwie leśnem albo bardzo małe, albo też żadnego nie mają pojęcia. W takich warunkach nie może być mowy, ażeby gospodarstwo leśne postawione być mogło na tym samym poziomie, co gospodarstwo rolne, spada też ono do roli drugorzędnej i tworzy nie przedmiot szczególniejszej opieki, lecz źródło pomocnicze do osiągnięcia dochodów.

Jeżeli naprzykład zwróci się do nas ktokolwiek w sprawie kupna majątku, to pierwsze pytanie jego będzie brzmiało, czy dobra zaofiarowane posiadają las rębny, którvby można natychmiast spieniężyć.

Jako regułę z bardzo małemi wyjątkami przyjąć należy, że całe gospodarstwo leśne prowadzone bywa u nas w sposób następujący:

Właściciel lasu przedewszystkiem przywołuje sobie „technika", najczęściej figurę „urzędową", nie pyta się tego technika o odpowiednie kwalifikacje i poleca mu las „urządzić". Że taki technik pragnie jaknajmniej się napracować, a jaknajwięcej zarobić, to rzecz naturalna, stosownie też do tego załatwia owo urządzenie lasu. Całą przestrzeń wymierza on pro forma, podług przedpotopowej metody dzieli na obręby i okręgi, starsze drzewostany rozkłada na pewną ilość równomiernych porębów i — „urządzenie" gotowe! Kolej cięcia redukuje się zazwyczaj do minimum, a mianowicie przyjmuje się 60 lat, ażeby co rok jaknajwięcej rąbać, nie bierze się jednak absolutnie w rachubę warunków przyrostu i gleby, nie zwraca się uwagi na rodzaj drzewa, na rynki drzewne i t. p. Cóż takie rzeczy mogą obchodzić „technika"? Przecież zagłębianie się w szczegóły powoduje tylko „niepotrzebną" pracę! A zresztą nie żąda tego nawet sam właściciel lasu, z tej prostej przyczyny, że się na takich rzeczach nie zna. Jakie ogromne szkody powstają jednak wskutek takiego urządzenia, każdy człowiek fachowy może sobie łatwo wyobrazić, w tej chwili jednak nie będziemy się dłużej nad tem zastanawiali, mając zamiar w przyszłości sprawę tę omówić oddzielnie.

W każdym majątku, posiadającym rolę uprawną i las, zawsze prawie leśnik zależny jest od potrzeb gospodarstwa rolnego, musi też on znosić cierpliwie, gdy bydło dworskie pasie się w całym lesie, musi obojętnie patrzeć, gdy pan ekonom gromadę robotników wysyła do lasu, ażeby wywieźli niezliczone ilości fur ściółki gwoli poprawienia gruntu pod uprawę zboża, Poręby pozostawiać trzeba do rozporządzenia administracji, ta zaś tak długo je uprawia pod pługiem aż ostatnich soków nie wydobędzie z ziemi.

W innych znów leśnictwach tylko w wyjątkowych wypadkach podejmowane bywają trzebieże, dzieje się to zaś dlatego, że dużo naszych leśniczych niewiele się na tem rozumieją.

Wszystkie te dolegliwości trudno tutaj wyliczać, wystarczy gdy powiemy, że dla właściwej ochrony lasów najczęściej nie robi się nic absolutnie.

A nasze kultury? Jakże często można uj-

rzeć, że na mokrych gruntach hoduje się sosny, a na lotnych piaskach świerki? A jak znów nadzwyczaj rzadko można spostrzedz, że zaprowadzane są kultury cennych gatunków drzew liściastych, jak np. dąb, jesion, klon i t. p.

I znów szukać musimy powodów, które wpływają na taki stan rzeczy. Wyliczymy tutaj powody najważniejsze, jest ich zaś sześć, a mianowicie:

1) Brak znajomości rzeczy i brak kardynalnych podstaw gospodarstwa leśnego, zarówno u właścicieli lasów, jak i u administratorów.

2) Nieodpowiedni dobór służby leśnej.

3) Zbyt nizkie wynagrodzenie rzeczywiście zdolnych fachowców, zarówno teoretyków, jak praktyków.

4) Zupełny brak niższych szkół leśnych, z których wychodziłby zastęp odpowiednio przygotowanych podleśnych i leśniczych.

5) Brak wogóle wyższych zakładów naukowych, te bowiem, jakie są, Puławy i Petersburg, kształcą wychowańców swoich wyłącznie w kierunku służby państwowej w oddalonych północnych guberniach Rosji, osoby więc wychodzące z tych instytutów tylko w wyjątkowych razach tworzą siły odpowiednie do pracy w lasach prywatnych.

6) Stosunek zależności wyższych oficjalistów leśnych od administratorów.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pomimo nadzwyczajnego upośledzenia, w jakiem znajduje się u nas gospodarstwo leśne, są i być muszą rewiry tak urządzone, że mogą nawet służyć za wzór rewirom zagranicznym. Jakże znikoma jednak jest ich ilość? Takie gospodarstwa, jak np. w Podzamczu, Trzebieniu, Złotym Potoku, Milanowie, Końskich i w kilku innych miejscowościach dadzą się porównać do prześlicznych, wieczną zielenią wabiących oaz, poza któremi rozciągają się nieskończone pustynie.

Niemałą winę ponoszą leśnicy nasi dlatego również, że zachowują się najzupełniej obojętnie wobec nowych postępów nauki i nie starają się wniknąć w nowoczesną literaturę fachową, a czynią to nietylko leśnicy, ale również właściciele lasów. Nasze pisma specjalne nie mogą poszczycić się zbyt licznem kołem prenumeratorow, czego najlepszym dowodem jest to, że „Leśnik Polski" po czterech latach istnienia doprowadził zaledwie do nieznacznej ilości abonentów, a nasza „Gazeta Leśna i Myśliwska", pomimo ożywienia treści, nie jest jeszcze tak rozpowszechniona, jak tego należałoby się spodziewać. Prawda, że liczba prenumeratorów „Gazety" wciąż wzrasta, ale cóż to znaczy wobec tysięcy ludzi zatrudnionych u nas w leśnictwie?

Zagranicą każdy leśnik i każdy człowiek, zajmujący się leśnictwem, musi wprost posiadać co najmniej jedno pismo, poświęcone leśnictwu i myśliwstwu.

Niedawno zrobiono w Niemczech obliczenie, które wykazało, że na każdego nadleśnego wypadło po cztery pisma fachowe, u nas jedno pismo przypada na 30-tu leśników, a dwa pisma trzyma zaledwie $2^1/_2$% naszych leśników W tym kierunku pozostaliśmy ogromnie w tyle. W Niemczech wychodzi przeszło 60 rozmaitych czasopism leśno-myśliwskich, jedno zaś z nich posiada około 140,000 prenumeratorów. Samem leśnictwem, bez myśliwstwa i bez handlu drzewem, zajmuje się 20 pism.

Przypuśćmy, że porównanie z Niemcami jest niewłaściwe, ale jakże ubogo wyglądamy pod względem piśmiennictwa fachowego nawet wobec małego narodu czeskiego!

W tych małych Czechach ukazuje się 6 pism leśnych, odbijanych w 30,000 egzemplarzach. Czyż można się wobec tego dziwić, że gospodarstwo leśne, a nie mniej myśliwstwo znajduje się w Czechach w stanie prawdziwie kwitnącym? I czyż nie byłby już najwyższy czas pójść za tym przykładem i rozpocząć gruntowną rewizję naszych zapatrywań na leśnictwo i myśliwstwo wogóle, a na prasę fachową w szczególności?

Bostrychus.

RÓŻNE.

Postępy techniki. W wielkich lasach amerykańskich używa się przy specjalnie dla traczy budowanych kolejkach przenośnych elewatorów parowych do przeładowywania ściętych kloców. Te elewatory parowe służą również do oczyszczenia gruntu z pni, oraz do przenoszenia budek, w których zazwyczaj mieszkają robotnicy. Wielkie maszyny tego typu, wyrabiane przez fabrykę „American Hoist i Derrick Co" w St. Paul (Minnesota), mogą naładować na dzień 150,000 do 225,000 stóp drzewa, a mają one tę zaletę, że mogą łatwo operować z klocami, choćby one leżały w bezpośredniej blizkości trzęsawiska, oraz, że nie potrzeba do nich zakładania żadnych relsów. Przy używaniu do wbijania pali funkcjonuje 1,260 kg. ważący ciężar; na łańcuchach zwieszają się relsy do kierowania, które mogą być szybko założone i odjęte.

= **Nauka leśnictwa.** Departament leśnictwa opracował projekt założenia szeregu wydziałów leśnictwa przy instytucjach politechnicznych.

Pozatem departament górnictwa, opracowuje projekt prawa o stworzeniu średnich szkół leśnictwa, które mają być zakładami na-

ukowemi zupełnie nowego typu. — Projekt prawa, traktujący o tych szkołach, będzie niebawem złożony Dumie.

Liczba niższych szkół leśnych doprowadzona zostanie do 43. — Nowe szkoły powołane być mają do życia wobec tego, że zamierzone jest utworzenie 1,000 nowych leśnictw i wogóle rozwoj gospodarki leśnej.

Wywóz smoły drzewnej z Rosji do Niemiec wynosił w r. 1912-ym 85,000 podwójnych centnarów. Popyt na smolę zmniejszył się z okręgach przemysłowych Niemiec środkowych, co przypisać należy temu, że wzmogła się produkcja miejscowa, smoła zatem przywożona z Rosji używana bywa przedewszystkiem do budowy okrętów. Zdaniem kół fachowych rosyjska smoła drzewna co do jakości odpowiada żądaniom nabywców, jeżeli zaś rozlegają się skargi. to jedynie na to, że zbyt wielka jest przymieszka wody. Natomiast odbiorcy niemieccy skarżą się na złe opakowanie towaru. Smoła importowana do Niemiec ze Szwecji przychodzi zawsze w dobrych beczkach, zawierających 125 litrów i ważących 160 kg. brutto. Rosyjskie beczki są wyrabiane prymitywnie i zawierają tylko 100 litrów. Szczególniej smoła nadchodząca z Archangielska, Mińska i Witebska najwięcej wywołuje skarg. Dobra robota beczek ma bardzo wielkie znaczenie w handlu smołą i na rynku daleko lepsze ceny osiągają te partje, które zewnętrznie mają lepszy wygląd. Na smołę drzewną w Niemczech nie ma żadnego cła, obecnie zaś beczka smoły szwedzkiej franco Hamburg wynosi 15,75 mk. za 100 kg., za taką samą zaś ilość smoły rosyjskiej płaci się tylko 15 mk. Chcąc znaleźć lepszy zbyt w Niemczech na smołę, trzeba koniecznie poprawić opakowanie. Wogóle tak mało i tak licho wyrabia się beczki w Rosji, że sprowadza się je puste z Niemiec z powrotem. W ostatnich czasach wzrósł popyt na wytwory suchej destylacji drzewnej.

Przypisek Redakcji. Centralne Biuro Leśne podejmuje się sprzedaży komisowej smoły drzewnej i terpentyny za granicę.



Z postępów techniki: Elewator parowy.

Dobre wyniki po użyciu krezolu. Zachęcony artykułami i opowiadaniami o krezolu, jako o doskonałym środku do zapowietrzania nor króliczych, postanowiłem również uczynić próbę u siebie. Przedewszystkiem wybrałem ku temu 60-ciomorgową przestrzeń, wysadzoną sosnami 10-letniemi, tam bowiem stwierdziłem największą ilość nor króliczych. Tak samo uczyniłem w przyległym starszym już drzewostanie sosnowym, gdzie w 200-metrowej średnicy poleciłem zapowietrzyć nory. Spotrzebowaliśmy na ten cel przeszło 10 kg. surowego krezolu, a postępowaliśmy w ten sposób, że kazałem ze starych worków wycinać kawałki wielkości ręki i skrapiać je krezolem, poczem wrzucaliśmy te płaty do ganków na jakie $^1/_2$ metra od otworu. Podczas czynności zapowietrzania na dworze było pochmurno i zimno, przez następne zaś trzy dni padały deszcze. Na czwarty dzień naznaczona była naganka, do której użyliśmy sześciu ludzi, sam zaś z jednym z myśliwych stanąłem na ścieżce około 300 m. długiej. Zaledwie naganiacze rozpoczęli swoją czynność, gdy pierwsze króliki przebiegły przez ścieżkę. Naganke powtórzyliśmy kilka razy, a chyba nie potrzebuję dodawać, że wobec tego, iż mało było strzelców i naganiaczy, wiele zwierząt przemknęło niepostrzeżenie. Pomimo to mieliśmy 51 sztuk na rozkładzie, podczas gdy przeszłego roku przy urządzaniu polowania na bażanty posiadaliśmy 12-tu myśliwych i 80 naganiaczy, a w rezultacie na rozkładzie okazało się 14 — 18 królików. Wogóle dzięki używaniu krezolu ubiłem od 1-go października 1911 roku do 30 go września 1912-go roku sztuk 1680, nie zdarzyło mi się zaś dostrzedz, ażeby nawet postrzelone i przez psy gonione króliki wpadaly do nor zapowietrzonych krezolem. Z chwilą, gdy spadł pierwszy śnieg, a przytrafilo się to w dwa tygodnie po polowaniu, zrewidowałem nory i z całą pewnością stwierdziłem, że ani do jednej z nich nie powróciły króliki. Robiłem również próby z klapami drucianemi, ale sposób to daleko kosztowniejszy i ani w połowie tak pewny, jak zapowietrzanie nor krezolem, zachęcam przeto wszystkich do stosowania tego środka w jaknajszerszym zakresie.

Bezpłatne kursa dla gajowych.

Polskie Biuro Leśne (Ks. Zdzisław Lubomirski i S-ka) komunikuje nam, iż termin

rozpoczęcia bezpłatnych kursów wyznaczono na dn. 5 sierpnia. Polskie Biuro Leśne prosi o wczesne zgłaszanie kandydatów; zapisy będą przyjmowane do 1 lipca r. b.

Program bezpłatnych 10-ciodniowych kursów dla gajowych jest następujący:

A. Hodowla lasu:

1) Znajomość drzew i najważniejszych krzewów;
2) Rodzaje gleby i jej uprawa (przeróbka;
3) Odnowienie lasu naturalne i t. zw. sztuczne;
4) Zbiór i przechowanie nasion;

C. Użytkowanie lasu.

1) Znajomość kwalifikacji drzewa na użytkowe, opałowe, chrust i odpadki;
2) Spuszczanie cennych okazów drzew i zachowanie ostrożności przy tej manipulacji;
3) Spuszczanie drzewa za pomocą siekiery, piły, oraz przez wykopanie z korzeniami;
4) Pomiar drzewa, posługiwanie się tastrem (klupą) numeratorem, cechą i t. p.
5) Odbiór materjałów użytkowych i opałowych od robotników (odbiórka).

D. Melioracje leśne:

Utrzymanie dróg i mostów, rowów, kopców granicznych i t. p.



Z postępów techniki: Kolejki leśne w Ameryce.

5) Siew i pielęgnowanie szkółek—przesadzanie siewek (szkółkowanie), dołowanie, transport, opakowanie;
6) Czyszczenie i trzebieże, jako czynności i pielęgnowanie lasu.

B. Ochrona lasu.

1) Znajomość cech, po których poznać można istnienie szkodliwych owadów w lesie; znajomość środków zapobiegawczych i tępiących;
2) Szkody od zwierzyny i bydła, oraz sposoby ochrony;
3) Znajomość najważniejszych przepisów prawno-policyjnych;
4) Zapobieganie pożarom w lesie i sposoby ratunku.

E. Miernictwo:

1) Pomiar figur umiarowych łańcuchem, taśmą i prętem;
2) Ostrożności przy użyciu tych instrumentów;
3) Używanie krzyżaka do tyczenia linji prostych i prostopadłych;
4) Orjentowanie się według mapy.

F. Łowiectwo:

1) Ochrona i pielęgnowanie zwierzyny w ogólności;
2) Karmienie zwierzyny;
3) Tępienie drapieżników (żelaza, trutki, pułapki);
4) Przeciwdziałanie kłusownictwu.
5) Czynności gajowego przy polowaniu.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

W ubiegłym sezonie 1912/13 otrzymano w Prusach (bez Ślązka) następujące przeciętne ceny za drzewo w stanie leżącym, loco las (z korą mierzono):

	1912/13		1911/12	
	Za 1 metr kub. w fenigach.	Za 1 stopę kub. polską w kopiejkach	Za 1 metr kub. w fenigach.	Za 1 stopę kub. polską w kopiejk.
a) **Sosnowe drzewo kopalniane:**				
Średnica w cienkim końcu 7—10 cm.	736	8.2	696	7.7
„ „ „ 10—14 „	938	10.4	856	9.5
„ „ „ 14—18 „	997	11.1	960	10.7
„ „ „ 18—22 „	1220	13.5		
w długich drągach do 14 cm. średnicy w środku	849	9.4	847	9.4
„ „ „ ponad 14 „ w środku	1000	11.1	973	10.8
b) **Sosnowe drzewo budulcowe:**				
Z masą do 1/2 metr. kub. = 21 stóp kub. pols.	1233	13.7	1334	14.9
„ od 1/2—1 m.³ = 21—42 „ „	1716	19.1	1806	20.0
„ od 1—2 m.³ = 42—84 „ „	2272	24.1	2339	26.0
„ wyżej 2 m.³ = 84 stóp kub. pols.	2676	29.7	2667	29.8
c) **Sosnowe bloki tartaczne:**				
Z masą do 1 m.³ = 42 stóp kub. polsk.	2950	32.8	3051	34.0
„ od 1—2 m.³ = 42—84 „ „	3534	39.2	3518	39.1
„ wyżej 2 m.³ = 84 stóp „ „	3908	43.4	3835	42.6
d) **Dąb klasa A (I klasa):**				
Średnica do 29 cm.	1854	20.6	—	—
„ od 30—39 „	3281	36.5	—	—
„ od 40—49 „	5023	55.8	5867	65.2
„ od 50—59 „	7782	86.5	8012	89.0
„ od 60 i wyżej	11885	132 1	10199	113.3
e) **Dąb klasa B (II klasa):**				
Średnica do 29 cm.	1904	21.2	1714	19.1
„ od 30—39 „	2409	26.7	2484	27.6
„ od 40—49 „	3317	36.9	3174	35.3
„ od 50—59 „	4220	47.0	4150	46.1
„ od 60 cm. i wyżej	5760	64.0	5106	56.7
f) **Buk, klasa A (I klasa):**				
Średnica od 30—39 cm.	1673	18.6	—	—
„ „ 40—49 „	2504	27.8	—	—
„ „ 50—59 „	2840	31.5	—	—
„ „ 60 cm. i wyżej	3055	34.0	—	—
g) **Buk, klasa B (II klasa):**				
Średnica do 29 cm.	1166	13.0	1234	13.7
„ od 30—39 „	1575	17.5	2010	22.3
„ od 40—49 „	2036	22.6	2067	23.0
„ od 50—59 „	2130	23.7	2303	25.6
„ od 60 cm. i wyżej	2317	25.7	2478	27.5
h) **Olsza, dłużyce:**				
Średnica do 29 cm.	1112	12.3	1410	15.6
„ od 30—39 „	1328	14.8	1768	19.7
„ od 40—49 „	1680	19.0	—	—
i) **Brzoza:**				
Średnica do 29 cm.	1126	12.5	1188	13.2
„ od 30—39 „	1545	17.2	1492	16.6
„ od 40—49 „	1607	18.0	—	—

k) **Drzewo użytkowe w sążniach:**
(Stelmaszczyzna i t. p.)

	Sosna.	Dąb.	Buk.	Olsza.	Brzoza.
	Ceny za 1 metr sześcienny w fenigach:				
do 14 cm. w cienkim końcu	664	—	—	700	760
od 14—28 cm. „ „	953	1518	844	918	994
od 25 cm. i więcej	1074	1826	918	1115	1470
l) **Drzewo opałowe**:					
Szczapy.	534	581	597	530	594
Krąglaki	384	428	486	426	461

Na **Ślązku** osiągnięto następujące ceny loco las:
(W kolumnie a=za 1 m.³ w markach, w kolumnie b=za 1 stopę kub. polską w kopiejkach).

a) **Dąb** Rok	A I od 60 cm. i więcej		A II od 50 do 59 cm.		A III od 40 do 49 cm.		A IV od 30 do 39 cm.		B I od 60 cm. i więcej		B II od 50 do 59 cm.		B III od 40 do 49 cm.		B IV od 30 do 39 cm.	
	Ś r e d n i c y															
	a	b	a	b	a	b	a	b	a	b	a	b	a	b	a	b
1912/13	118	131	100	111	70	78	51	57	58	65	51	57	44	49	32	35
1911/12	134	149	92	102	66	73	48	53	63	70	53	60	41	45	36	29
1910/11	140	155	87	91	59	66	41	45	62	69	45	50	34	38	24	27
1909/10	70	78	54	60	51	57	38	42	46	50	34	38	30	33	18.5	20

b) **Sosna** Rok	Kloce tartaczne				Dłużyce budulcowe							
	II klasa		III klasa		I klasa ponad 2 m.³		II klasa od 1—2 m.³		III klasa od 0.5—1 m.³		IV klasa do 0.5 m.³	
	a	b	a	b	a	b	a	b	a	b	a	b
1912/13	30.0	33	26.5	30	29.4	33	25.3	29	19.9	22	13.0	15
1911/12	32.5	36	30.5	34	31.6	35	27.0	30	21.5	24	15.8	18
1910/11	31.5	35	28.5	32	29.7	33	23.9	26	18.2	20	12.2	14
1909/10	31.0	34	25.8	29	27.5	30	21.8	24	15.2	17	11.2	12
c) **Świerk**												
1912/13					21.2	24	19.7	22	18.0	20	14.1	15
1911/12					23.0	26	21.4	24	19.0	22	14.0	15
1910/11					19.7	22	17.3	19	14.5	15	11.9	12
1909/10					16.8	19	13.9	15	11.6	12	9.4	10

d) **Drzewo kopalniane i Celluloza**: (a = za 1 m.³ w markach, b = za 1 sążeń polski po 108 stop kub. w rublach).

Rok	Kopalniane iglaste		Celluloza			
			Sosna		Świerk	
	a	b	a	b	a	b
1912/13	15	18.2	11	13.5	14	17.1
1911/12	13	16.0	10	12.2	12	14.6
1910/11	12	14.6	9	11.0	11	13.5
1909/10	12	14.6	8	9.7	10	12.2



Stary leśnik tak zaśpiewał.

Chociem ci jest leśnik stary,
Kopę lat już żyję,
Lecz na wiosnę szukam pary,
Serce mocniej bije!
Siódmy krzyżyk niosą barki
Ciężkiego żywota,
A wciąż do szukania parki
Bierze mnie ochota!

Gdy majowe aromaty
Ogarną mnie w lesie,
Jakaś dziwna siła z chaty
Do boru mnie niesie.
I choć dawno zaszło słonko,
Posnęły ptaszyny,
Ja wciąż błądzę lasem, łąką,
Tęskniąc do dziewczyny.

A gdy wzejdzie miesiąc złudny
Gdzieś na firmamencie,
Muszę do dom wracać smutny
W tęsknoty udręce:
Zmarnowane życie moje,
Sam żywot ten wlekę:
Gdy zagasną życia zdroje
Wiatr zamknie powiekę!...

. . . .

M Godlewski

STARY.

Miał nazywać się „Mars“: imię zupełnie odpowiednie dla szorstkowłosego wyżła; jednak skoro dostał się do mego domu rodzicielskiego, jako ośmiotygodniowe szczenię, nikt nie nazywał go inaczej jak „Stary“, lub zdrobniale „Staruszek“.

Moja siostra, wówczas piętnastoletni podlotek, znajdowała go „miluchnym i cudownym“, matka „paradnym“, brat „paskudnym“, kucharka, której był zaklętym wrogiem, zwała go „starym złodziejem“, skoro zaś porwał i potargał w strzępy jej przyprawny warkocz, nazwała go „piekielnym potworem“.

„Starym“ przezwaliśmy go i nie bez racji. Głowa, z której spozierało dwoje bursztynowych, jastrzębich oczu, zadziwionych i ciekawych, pełna była marsowych brózd i zmarszczek; po pół roku obrosła prawdziwą, brodą; doprowadziło mnie to do wniosku, iż „Stary“ jest niezmiernie podobny do naszego nauczyciela. Oficjalnie wylazło mi to bokiem, jednak w cichości ducha wszyscy przyznawali mi rację. Dla mnie, który dochodziłem wówczas poważnego wieku lat dwunastu, był „Stary“ pod każdym względem dobranym towarzyszem zabaw; podczas gdy inni próbowali go skłonić pieszczotliwemi nazwami, lub nawet łakociami, jak np. główką od śledzia, której był namiętnym amatorem, by poszedł z nimi, udawał jak pień głuchego, skoro tylko jednak usłyszał moje kroki, rzucał się w podskokach na spotkanie, przyczem z radości o mało mnie nie przewrócił.

Długi czas się mozoliłem, by „Starego“ nauczyć sztuk rozmaitych i niestety napróżno i jedno, co zdołał sobie przyswoić, było „po-

dawanie łapy", lecz o ile wiem nikt, prócz mnie, nie mógł się pochwalić tym objawem łaski.

Później brał go kilka razy mój brat na polowanie, przyczem się okazało, iż „Stary" jest nietylko pasjonowanym i zawołanym szperaczem i pływakiem, lecz i aporteurem z Bożej łaski zagubionej zwierzyny. Niestety! popełnił mój kochany braciszek błąd, iż kilka razy potężnie go skarcił na polowaniu i gdy znów kiedyś przy podobnej okazji „Stary" otrzymał dotkliwe „wnyki", zawrócił na miejscu i uciekł do domu, by się przy mnie pocieszyć. Naturalnie, iż braciszek mój wymyślał na „podłe zwierzę, zwierzę nie warte nawet wystrzału", w każdym razie „Starego" więcej w pole nie brano, raczej *on sam* nie chciał z nikim chodzić i zadawalał się dławieniem wszystkich na drodze spotkanych kotów, które to przyzwyczajenie pozostało mu do późnej starości.

Dziś jeszcze żałuję, iż pies nie został ułożony przez kompetentnego układacza, gdyż przedstawiał materjał znakomity: żaden gąszcz nie był mu zbyt gęsty, żadna rzeka zbyt szeroka, zmęczenia przy wytężonem poszukiwaniu podlotów w bagnach i jak mur zwartej trzcinie poprostu nie znał, wiatr miał wspaniały; drapieżniki zaś wszelkiego rodzaju dusił bez pardonu. Niedziw, iż wkrótce wyglądał jak bursz niemiecki, tak miał pokiereszowaną głowę, uszy zaś były w strzępach. Pięknym „Stary" nie był zaiste, lecz jego zachowanie się, iż tak powiem, nacechowane godnością i otwartem spojrzeniem szczególniej, jednało mu powszechną sympatję.

Gdy „Stary" miał pięć kwartałów, upolowałem pierwszego kozła, lecz bez jego pomocy byłbym go zapewne nie dostał. Kozioł, otrzymawszy kulę zbyt nizko, pierzchnął bez oznaki i farby w prawie niedostępną plantację trzciny i wierzby: wszelkie poszukiwania z dwoma będącemi pod ręką wyżłami oraz częściowe, parokrotne przeszukiwanie w 10 metrowych odstępach niedostępnego gąszczu, pozostały bez rezultatu. Po czterogodzinnem chodzeniu mieliśmy dosyć, a i wyżły straciły już ochotę, więc choć z bólem serca, mieliśmy się już wyrzec kozła i uznać go za zgubionego, gdy nagle pojawił się na widowni „Stary", powitany okrzykiem radości.

Że też wcześniej nie pomyślałem o tym dzielnym „Starym". Odrazu usposobienie nasze się wypogodziło. „Stary", który podążał zazwyczaj mojemi śladami i nawet w niedzielę podczas srogich mrozów, zwykł był cierpliwie oczekiwać przed podwojami parafialnego kościołka, podążył i tym razem za mym śladem, jak zaś w sam czas zdążył, miało się niebawem okazać.

Mimo śmiechu towarzyszących mi myśliwych, naprowadziłem „Starego" na zdeptane już miejsce strzału i troskliwie zaczerpnąwszy wiatru, parę razy przełożył, poczem podjąwszy trop, szybko zniknął w gęstwie trzciny i wierzby. Upłynęło długie, niespokojne dziesięć minut, gdy zaszeleściało obok mnie i ukazał się kosmaty łeb „Starego"; lecz co to miało znaczyć? Pies zachowywał się jak wściekły, skakał naprzód spozierając na mnie, znowu powracał i zdawał się chcieć dać mi do zrozumienia, bym za nim podążył.

Oho! coś mu się stało! — rzekł nasz stary leśniczy. — Tam do licha, wszak ma sarnią szerść u pyska!! Pójdź tu Stary!

Pies jednak nie dał się złapać i musieliśmy *nolens volens* udać się za nim. Przy pomocy kordelasow przedarliśmy się na jakie pięćdziesiąt kroków, gdy — zaledwie o dwadzieścia dlugości rozległ się dźwięczny i czysty jak dzwon głos dzielnego psa.

Stary oszczekiwał trupa, nie posiadając żadnej tresury!

Teraz nie bylo już wątpliwości; lecz nagle usłyszeliśmy plusk oraz dosadne przekleństwo: leśniczy znalazł się po kolana w bagnistym, $1^1/_2$ metra szerokim rowie osuszającym.

Po drugiej stronie rowu stał „Stary" bez przestanku szczekając, z rowu zaś sterczała głowa i rogi padłego kozła!

Od tej pory stał się „Stary" znakomitością i podczas polowań, szczególniej z naganką w lasach, stał się wprost niezbędnym; często przysyłał sąsiad, nawet daleki, by przy jego pomocy udać się na poszukiwanie postrzelonej zwierzyny, ja sam zaś zawdzięczam jego pomocy z dobry tuzin rogów i konarów — i to nie najgorszych.

Stary zginął piękną, bohaterską śmiercią..

Było to w roku 18..., zima nadeszła niezwykle wcześnie i już w drugie święto Bożego Narodzenia pokryła stawy i strumienie szczelną powłoką lodową. Tylko Wisła buntowała się jeszcze: unosząc olbrzymie kry lodowe, toczyła brudno-żółte fale szumiąc i pieniąc się ku dalekiemu morzu. W cichej nocy zimowej słychać było dźwięki zderzającej się kry i skrzypienie nadbrzeżnego lodu i dźwięczało to, jak gdyby odgłos dzwonów dalekich, lub jak dyskretny chychot nimf rzecznych.

Wówczas liczył „Stary" czternaście lat i, chociaż podupadł na wzroku, nie stracił jednak wyrobionego autorytetu, jako poszukiwacza zranionej zwierzyny; węch zachowywał znakomity, zmęczenia zaś, jak i dawniej, nie znał.

Ostatnie jednak dwa tygodnie cierpiał biedak na reumatyzm i już znajdował się na drodze do wyzdrowienia; umieściłem go w ciepłej kuchni i traktowałem miksturami oraz wszelkiego rodzaju maściami.

Było to w drugie święto Bożego Narodzenia po południu. Wybrałem się spróbować szczęścia na kaczki ponad brzegami Wisły, które wówczas, gdy wszystko w lodach i mrozie drętwiało, w licznych stadach setkami rzekę na otwartych miejscach zalegały. Przedtem jednakże zaszedłem do kuchni, by zajrzeć do „Starego" i natrzeć go spirytusem drzewnym — mym środkiem uniwersalnym na dar-

cie i reumatyzm. Ujrzawszy mnie „Stary“ powstał i patrzał kiwając ogonem, a jakiż to ogrom wierności i przywiązania leży we wzroku i witaniu psa!

— Tak, mój Stary—pocieszałem go—dzisiaj naturalnie iść ze mną nie możesz, zato latem, gdy wyzdrowiejesz, to zobaczymy! Poczciwiec zrozumiał i położył się posłusznie, dozwalając cierpliwie na procedurę wcierania. Gdy stanąłem przed drzwiami domu, chwilę nasłuchiwałem, rozległa się przeciągła skarga mego psa, która mnie poruszyła do żywego. Biedny „Stary“, biedny, poczciwy towarzyszu! Lecz nic to nie pomoże, zabrać cię i tak nie mogę! Ruszyłem więc naprzód, by się nie zachwiać w postanowieniu.

Po półgodzinnym szybkim marszu dotarłem do celu i w nienajdłuższym czasie miałem przytroczone cztery ofiary u torby. Wtem, „kwaak“, kwaak, i z trzciny przedemną zerwało się klinem ogromne stado: głuchy podwójny strzał i gdy jedna kaczka kamieniem spadła na ziemię, druga uderzyła z łoskotem o wodę w samej krawędzi lodu. Nie było się co długo namyślać, gdyż o 4-tej się ściemniło, a chciałem koniecznie mieć pełne pół tuzina.

Ostrożnie posunąłem się po lodzie, pozostawiając broń na brzegu i miałem teraz tylko jeszcze trzy kroki do mej ofiary, wtem --- trzask, łamanie się tuż przedemną, obok mnie i w ostatniej chwili zaledwie zdołałem rzucić się w tył. Lecz, czyżby to było złudzenie? Byłoż to rzeczywistością? Pośród spękanego lodu wynurzył się z głębi żółtej fali łeb „Starego“ z ubitą kaczką w pysku! Pierwsze wrażenie, którego doznałem, był unieruchomiający przestrach, opamiętałem się jednak, mając jedno tylko na myśli: uratować „Starego“ za wszelką cenę! Dotarłem do mocnej krawędzi lodu,— chwyt, i złapałem za obrożę oraz rozpaczliwem szarpnęciem zdołałem psa z wody wyciągnąć.

A „Stary“? Jak gdyby nic się nie stało, z kaczką w pysku usiadł przedemną i dopiero, gdy mi ją podał otrząsnął się parę razy. Trzęsły mi się jeszcze nogi z przestrachu, chociaż bynajmniej do wrażliwych nie należę. Zawsze było to swego rodzaju dziwne uczucie, uniknąć z ledwością groźnego niebezpieczeństwa. Bez wmieszania się „Starego“ byłbym się bezwątpienia załamał na cienkim lodzie, będąc zaś wciężkiem, grubem ubraniu myśliwskiem oraz wysokich butach, nie było co myśleć o pływaniu i byłbym przepadł.

Lecz co się stało?—Stary położył się w śniegu i patrzał na mnie błagalnie; widocznie nie mógł powstać o swej mocy. Działanie zimnej kąpieli, którego stare i chorobą znękane ciało nie mogło więcej przenieść, nastąpiło. Prędko zarzuciłem broń, pozostawiwszy torbę gdzie leżała i wziąłem w objęcia starego, drżącego psa, dążąc jak można najśpieszniej do oberży do o pół godziny odległej wioski. Skąpany w pocie nareszcie doszedłem.

Mleka! gorącego mleka! tylko prędko! — zawołałem.

Zawinąłem „Starego“ w końską derkę, począwszy go z całych sił rozcierać...

Zapóźno!

Raz jeszcze poruszyło ciałem konwulsyjne drganie, poczem ostatnim wysiłkiem uniósł „Stary“ łeb i spojrzał na mnie wzrokiem, którego nigdy, póki żyć będę, nie zapomnę!

— Stary! Mój poczciwy, ukochany „Stary“!—

Wówczas podniósł bezradnie prawą łapę, jak zwykł był to czynić jeszcze szczenięciem, i po raz ostatni lizał mą rękę, pieszcząc ją ostrym, gorącym językiem; poczem łeb mu opadł w tył.

Starego nie stało więcej; paraliż płuc przeciął nić jego żywota.

Tuż pod lasem, pod cicho, szumiącemi świerkami, ułożyliśmy na wieczny spoczynek naszego „Starego“. Na małym zaś kopcu stoi prosty, zwyczajny kamień z napisem:

„Tu spoczywa nasz „Stary“ sk. 26. 12. 18..: skończył na stanowisku, poświęcając swe życie, by ocalić życie swego pana!“

Wł. Kokeli.

Treść: Jutrzenka.—W dziewiczych lasach „Siera“. — Z wyprawy na niedźwiedzie nad jezioro Onega. — Jak sieje lasy natura?—Ułatwienie dzikim kaczkom wylęgania. — Przyrządy do transportowania drzewa.—Luźne uwagi.—Różne.—Wiadomości handlowe.—Wywczasy na leśniczówce: Stary leśnik tak zaśpiewał.—Stary

Warunki przedpłaty z dostawą. W Warszawie i na prowincji: rocznie rb. 8.— półrocznie rb 4. — kwartalnie rb. 2. — za granicą: rocznie koron 24. — lub marek 20, — półrocznie kor. 12 lub mk. 10, — kwartalnie kor. 6 — lub marek 5.; — pojedyńcze numera 40 kop.

Warunki ogłoszeń: Przed tekstem: cała strona rb. 60, pół str. 32, 1/4 str. rb. 18, 1/8 str. 10 rb., 1/16 str. rb. 5 k. 50. Po tekście: cała stronica rb. 50, 1/2 stron. 28, 1/4 str. rb. 16, 1/8 str. rb. 8.50 i 1/16 rb. 4.50.

Przedpłatę przyjmuje administracja, jak również każda księgarnia w Warszawie, na prowincji i za granicą

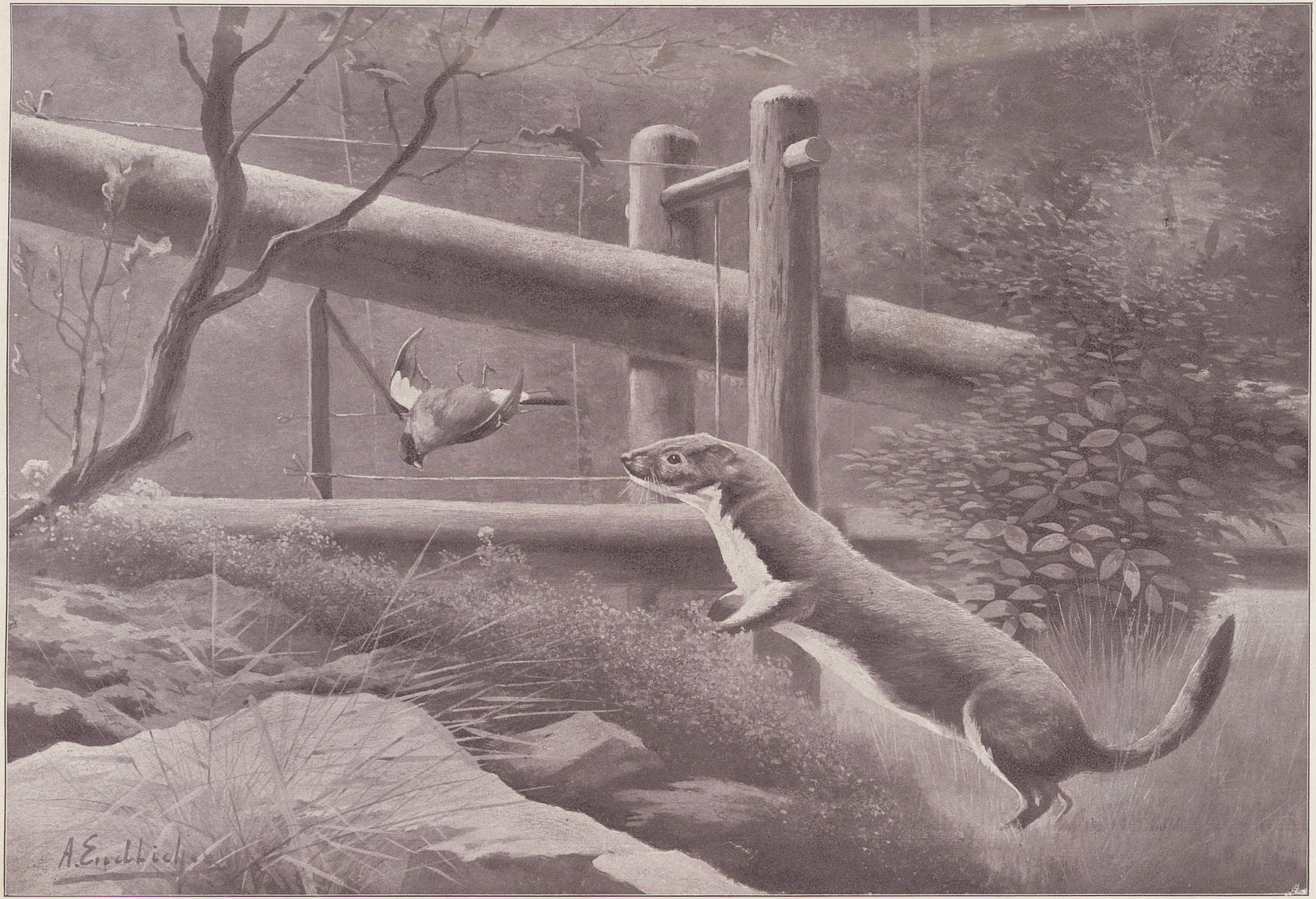
Komplety za rok 1912 w ozdobnej oprawie otrzymać można po cenie Rs. 5 kop. 50 wraz z przesyłką w Administracyi. — Za zaliczeniem kop. 20 drożej.

Za listy nadesłane do Redakcji pismo nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Ze zmianą adresu prosimy nadesłać po 20 kop. w znaczkach pocztowych.

Wydawca: **Gustaw Buseck-Busecki.** Redakcja i Administracja: **Nowy-Zjazd Nr. 7.** Za redaktora: **Zygmunt Dekler.**

Druk A. Zięckowski i S-ka Warszawa, Widok 3. Telef. 135-10.



Lasica przed pułapką. Dodatek do »Gazety leśnej i myśliwskiej«.